



Henryk Włodzimierz Klimek

Czas utraconego dzieciństwa (fragmenty)

*Matce
za Życie, Miłość i Chleb – w
imieniu sześciorga Jej dzieci*

Słowo wstępne

Sześć lat miałem w 1939 roku, kiedy z symboliczną trupią czaszką na kołnierzach i czapkach oraz szyderczym „Gott mit uns” (Bóg z nami) na paskach, wojska hitlerowskie napadały na Polskę. Wśród pięciorga mojego rodzeństwa najstarszy brat miał wtedy lat dziewięć, najmłodszy zaledwie trzy. Nie zdawaliśmy jeszcze sobie w pełni sprawy nawet z tego, co znaczy samo słowo „wojna”. Wnet jednak wylęknionymi oczyma dziecka zobaczyliśmy jej krwawe oblicze i aż nadto odczuliśmy nieludzkie okrucieństwa, jakie z sobą niosła. Nie ulega wątpliwości, że w każdej wojnie dzieci są tymi ofiarami, na które spada najwięcej cierpień.

Na początku wojny nikomu z nas nawet przez myśl nie przeszło, że hitlerowcy wkrótce więzić będą i wyniszczać całe polskie rodziny, wynaradawiając lub mordując bezlitośnie także dzieci. Niemiecki Urząd do Spraw Polityki Rasowej opracował specjalne plany w stosunku do polskich dzieci. Realizacja wytycznych w tym względzie szła w trzech zasadniczych kierunkach:

1) Dzieci polskie, które pod względem rasy, krwi i charakteru wykazywały pewne „cechy germańskie”, odbierano rodzicom i w celu zniemczenia kierowano do specjalnych szkół, tworzonych jakby na wzór „Szkół Janczarów”. W metrykach zmieniano im imiona i nazwiska i ze szkół przydzielano rodzinom niemieckim.

2) Dzieci polskie, które po przeprowadzonej obserwacji i badaniach pod względem rasowym, zdrowotnym i psychologicznym, nie wykazywały „cech rasy germańskiej”, jako istoty niższego gatunku, miały pozostać na zawsze niewolnikami i stanowić dla Niemiec tanią siłę roboczą.

3) Dzieci polskie, których rodzice w ocenie Niemców byli „szczególnie niebezpieczni” dla Rzeszy, dzieci polskich matek wywiezionych do Niemiec na przymusowe roboty, niemowlęta narodzone w obozach oraz dzieci z jakiego bądź innego powodu wyselekcjonowane na zagładę, podlegały eksterminacji w lagrach i obozach śmierci.

Okupacyjne dni życia naszego potoczyły się tak, że mieliśmy przejść kolejno przez wszystkie próby losu, jakie okupant zgotował dzieciom polskim.

Książka niniejsza jest wspomnieniem najsmutniejszych w życiu moim i mojego rodzeństwa lat. Jest wspomnieniem czasu hitlerowskiej okupacji, w szczególności na ziemiach pomorskich.

Opisy zdarzeń oparłem w znacznej mierze na wspomnieniach mojej matki, która zdążyła (przed swoją śmiercią w 1973 roku) – gdy rak toczył jej schorowany organizm – opowiedzieć mi wiele szczegółów z tamtych lat. Cennych uwag użył także mój najstarszy brat Lech (obecnie już nie żyjący).

Dorastaliśmy w czasie, który pozbawił nas uśmiechu dzieciństwa. Dla mnie i pięciorga mojego rodzeństwa był to czas utraconego dzieciństwa.

Niniejsze wspomnienia z lat 1939-1945 spisałem ku pamięci Potomnych. Oby nigdy więcej dorośli tego świata nie wzięli dzieci w obozach, nie przerażali ich okrucieństwami prześladowań, nie zadawali bólu, głodu i – aby nigdy więcej wojna nie zabierała nikomu dzieciństwa.

Część pierwsza

Utrata ojca i ojcowizny

W Pływaczewie, mojej wiosce rodzinnej, dzień pierwszy września wywołał wielkie zamieszanie i panikę wśród mieszkańców.

Minęło kilka dni, gdy pojawili się w naszych stronach uciekinierzy, cofający się przed frontem działań wojennych. Wśród nich byli rodacy nawet z pobliskiego Grudziądza. Wszyscy uciekali w stronę Warszawy, jakby w stolicy widzieli ocalenie. Opowiadali o bezlitosnym zabijaniu przez żołdactwo hitlerowskie bezbronnej ludności cywilnej. Zachęcali nas, abyśmy uciekali razem z nimi dla uniknięcia losu tragicznie już doświadczonych. Przestrzegali, że na ratowanie się może być za późno, gdy front niebezpiecznie do nas się zbliży. Odmawialiśmy im jednak z racji niecierpliwego oczekiwania na powrót ojca, który jeszcze przed wybuchem wojny pojechał w sprawach poselskich do Warszawy. Mamusia sama z sześciorgiem małych dzieci obawiała się ryzyka tułaczki, mimo wielu przekonujących rad i ostrzeżeń.

Tymczasem niemal co noc i co dnia słychać było coraz groźniejszy podniebny warkot nieprzyjacielskich samolotów bombowych. Niekiedy jak grzmot słychać było huk eksplodujących bomb. Wieczorami niebo zaczynało czerwienić się krwawo i złowieszczo. Znaczyło to, że front z każdym dniem przybliżył się do nas, a wróg ogniem piekielnym razi wszystko co napotyka po drodze.

Kiedy niepokój zaczął dręczyć mieszkańców naszej wioski już nie tylko z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę, z minuty na minutę i nocą zrywał ze snu, postanowiono przedsięwziąć przygotowania do dobrowolnej ewakuacji. Na wieść, że Niemcy doszli już do Grudziądza liczni gospodarze, wśród nich również nasi sąsiedzi, w pośpiechu opuścili wioskę. Teraz i mamusia zdecydowała się na ten krok. Pociągi, które od kilku dni kursowały nieregularnie, teraz gdzieś jakby utknęły. Na torach było zupełnie głucho. Fakt ten pozbawił nas nadziei na rychły powrót ojca z Warszawy. Droga kolejną do domu była odcięta.

Zachodziło wrześniowe słońce, kiedy kończyliśmy przygotowania do ucieczki przed wrogiem. Konne zaprzęgi z wozami naładowanymi wartościowym dobytkiem pracy rąk rodziców naszych, stały gotowe do drogi. Żal było opuszczać prawie stuletni dom rodzinny, pola w chleb urodzajne, ukochaną i spokojną wieś zarania naszego dzieciństwa...

Tuż przed wyruszeniem w drogę wjechał na nasze podwórze samochód osobowy marki Opel. W pierwszej chwili radość rozjaśniła nam twarze. Sądziliśmy, że samochodem tym przyjechał z Warszawy ojciec. Wysiadł jednak zupełnie obcy, tajemniczy mężczyzna. Zapytany, czego żąda – nie odpowiedział. Rozejrzał się tylko wokoło, pośpiesznie wrócił do samochodu i odjechał szosą w kierunku Wąbrzeźna. Był to chyba szpieg niemiecki wysłany na zwiady.

Nadchodziła noc. Na firmamencie niebo złotem lśniło od gwiazd. Chociaż byliśmy ciepło ubrani, mamusia otuliła nas, sześcioro jej dzieci, siedzących już w wozie, dodatkowo puchowymi pierzynami. Pożegnaliśmy się, jak z kimś sercu bliskim, rozstaliśmy się z domem rodzinnym. Dwoma zaprzęgami, niczym mały cygański tabor, ruszyliśmy pod osłoną nocy w nieznaną jutro. We wsi zostali tylko staruszkowie, będący na gminnym utrzymaniu.

W sąsiedniej wiosce, Zieleniu, minęliśmy kilka innych furmanek, jadących wolno poboczem drogi. Wszystkie one kierowały się w stronę Golubia-Dobrzynia, ponieważ tam, czynnym jeszcze mostem można było przejechać na drugą stronę Drwęcy.

Nad ranem zatrzymaliśmy się we wsi Ostrowite przed szkołą, której kierownikiem był nasz wujek, Walerian Brzeziński, mąż siostry naszego ojca Adeli. Wujostwo mieszkali razem z naszą babcią (matką cici i naszego ojca) oraz z jedynym swoim synem, wówczas ośmioletnim Marianem. Teraz, w Ostrowitem, cieszyliśmy się z tego, że jesteśmy wszyscy razem.

Jako dzieci – razem z kuzynem Marianem – przeżyaliśmy początek wojny trochę inaczej niż dorośli, którzy – w przeciwieństwie do naszej dziecięcej nieświadomości – mieli świadomość nieszczęść, jakie niesie z sobą wojna. Dla nas dzieci, wszystko co się teraz dziać zaczęło, było jeszcze na razie

beztroskie, ciekawe, takie inne, jak choćby zamiana łóżka w domu na spanie w jadącym wozie z wytkniętym spod pierzyn nosem i widokiem nieba z gwiazdami jako sufitu... To była po prostu wielka, nowa, dziecięca przygoda.

W drodze odżywialiśmy się tylko pszennymi sucharkami. Mamusia napięła ich jeszcze w domu spory zapas. Wypełniła nimi duży kocioł i dwa worki. Na dni niepewnego losu był to chleb najpewniejszy. Kiedy odkryliśmy, w którym znajdują się one wozie, zakradaliśmy się tam razem z Marianem, podtrzymując jeden drugiego przy wspinaniu się na zbyt duże – jak na nasz wzrost – koła i szczyty wozu. Wystarczyło, że do tego smacznego skarbcza w wozie dostał się jeden z nas, to już on podawał chrupiące smakołyki wszystkim pozostałym... Takie pyszności w połączeniu z przygodami dzieciństwa pamięta się długo.

Dorośli pouczali nas, że nie wolno niczego podnosić z ziemi, bo może wybuchnąć... i – że musimy się kryć, gdy nadlatują samoloty... Więc kryliśmy się często do stodół, do zabudowań gospodarczych, zarośla i krzewy, gdy w pobliżu nie było budynków.

W Ostrowitem z ukrycia przy szkole widzieliśmy (z pierwszym w tej wojnie dziecięcym przerażeniem) epizod bitwy powietrznej, w której dwa niemieckie samoloty zaatakowały polski. Pilot bronił się rozpaczliwie. Na ostry atak wrogów odpowiadał urywanym strzelaniem. Strachliwe drżenie opanowało nas od rozlegającego się wokół łoskotu karabinowego. Walka od początku była nierówna. Polak próbował bronić się unikami. Opuścił samolot nisko jakby w zamiarze ucieczki. Wnet jednak został celnie trafiony i płonąca maszyna zarył głęboko w ziemię...

Wieczorem ruszyliśmy w dalszą drogę. Wkrótce dotarliśmy do Golubia. Na przejazd mostem przez Drwęcę musieliśmy czekać w kolejce. Uciekinierów było tu mrowie. Kiedy z trudem przedostaliśmy się wreszcie na drugą stronę rzeki, mamusia zadecydowała, żeby najprostszymi drogami jechać do Dulska, gdzie wcześniej wyjechał już nasz sąsiad z Pływaczewa. Owe najprostsze drogi okazały się bardzo uciążliwe. Gdzieniegdzie towarzyszyła nam gęsta osłona lasu, a nierzadko piaszczyste drogi i wzniesienia sprawiały, że trzeba było kolejno zaprzęgać czwórkę koni do jednej furmanki, pozostawiając na pewien czas drugi wóz w tyle. Po tak ciężkiej i żmudnej, całonocnej jeździe o świcie dotarliśmy do wsi, w której postanowiliśmy zatrzymać się choćby przez dzień.

Tu jednak spotkał nas rozczarowanie. Trafiliśmy do gospodarza, który nas do mieszkania nie wpuścił, pozwolił jedynie przecześć w piwnicy. Wozy musieliśmy zostawić na drodze, gdyż za bramę podwórza nie pozwolono wjeżdżać. Ukryliśmy je w cieniu krzewów i drzew, których korony tworzyły niezbędną dla wiezionego dobytku zasłonę przeciwlotniczą.

Tu w ciągu dnia byliśmy świadkami, jak do biegnącej przez pola samotnej kobiety jeden z niemieckich pilotów, pikując samolotem w dół, otworzył ogień pocisków maszynowych. Kobieta została ranna. Resztkami sił, z pokrwawioną ręką i nogą, dowlokła się do zabudowań. Ale tu nie udzielono jej pomocy. Odegnano od drzwi w nieludzkim mniemaniu, że ściągnię na innych nieszczęście. Z odrazą przywołuję dziś w pamięci to zdarzenie, na świadectwo, jak brutalne instynkty wyzwała wojna u niektórych ludzi.

Powołując się na ten sam „argument”, co wobec bezbronnej i rannej kobiety, przed nocą i nas wyproszono z niegościnniej zagrody. Z konieczności udaliśmy się więc w dalszą drogę, a żal ściszał serce za opuszczonym własnym domem. Jechaliśmy przed siebie, byle naprzód. Po drodze wyprzedzało nas wielu polskich żołnierzy, którzy w pośpiechu zmierzali w kierunku Warszawy.

O brzasku dojechaliśmy do wsi Łukaszewo w powiecie Rypin. W tej dopiero wsi jeden z gospodarzy przyjął nas serdecznie. Ulitował się nad naszą niedolą, widząc nas, sześcioro małych dzieci. Pozwolił ukryć w stodole nasze furmanki i odstąpił kuchnię do zagotowania ciepłej strawy.

Przykro doświadczeni minionego dnia ludzką niegościnnością sami tym razem nie chcieliśmy gospodarzowi w Łukaszewie sprawić większego kłopotu i wieczorem zamierzaliśmy jechać dalej. Ale on nas nie puścił. Serdeczny ten człowiek szczerze odradzał dalszego tułania się, tym bardziej że drogi i szosyapełniały się wojskiem, które dzień i noc, konno i pieszo zmierzało w stronę stolicy. Jeden z polskich oficerów zabrał nam wówczas najpiękniejszego konia z zaprzęgu, zostawiając w zamian takiego, co z przemęczenia ślaniał się. Żał nam było naszego konia, gniadego ogiera, ale trudno – na wojnie tak już jest, że wojsku nie można odmawiać pomocy.

Późnym wieczorem wstąpił do nas jeszcze jeden żołnierz. Prosił o kawałek chleba, tak bardzo był głodny. Mówił, że ma przy sobie 71 naboju i chciałby zabić nimi 70 żołdaków hitlerowskich, a ostatnią kulę zatrzyma dla siebie, by żywym nie dostać się do niewoli.

– Dla polskiego żołnierza nie ma innego wyjścia – powiedział. Na pożegnanie z goryczą dodał: – Tak czy tak Polska wzięta zostanie w niewolę...

W dwa dni później byli już w Łukaszewie Niemcy. Wkraczali tu względnie spokojnie, ponieważ nie natrafili na zbrojny opór. Krwawe starcia czekały ich dalej – pod Kutnem, Modlinem i Warszawą... Uzbrojeni po zęby, z doskonale na owe czasy zmechanizowanym sprzętem wojennym, parli teraz butnie naprzód. Dawali sobie przy tym czas na plądrowanie i niszczenie wszystkiego, co raziło ich oczy polskością. Śmiejąc się szyderczo, burzyli świątki ludowe i łamali krzyże stojące na rozstajach dróg...

Tak stało się to najsmutniejsze – początek niewoli. Nikt z nas wtedy nie wiedział, jak długa i jak tragiczna dla Polaków będzie ta niewola. Jak smutne w niej będą lata naszego dzieciństwa...

Po wkroczeniu wroga

Trzeciego dnia po wkroczeniu wroga, kiedy szosy były już wolniejsze od wojska, ruszyliśmy z powrotem do domu rodzinnego. Mamusia miała łzy szczęścia w oczach i wcale ich nie kryła. Cieszyła się, że wszyscy ocaliliśmy.

W powrotnej drodze roztaczały się przed nami widoki ścinające krew w żyłach. Jakby apokaliptyczny anioł śmierci przeszedł nad ziemią. W przydrożnych rowach – pół konia, obok człowiek bez głowy, bez rąk. Pod rozłupanym od bomby drzewem skulone w śmierci dziecko. Nieco dalej roztrzaskany wóz jak zgniecione pudełko zapalek. Wokół pełno pierza z rozprutych pościeli. Na polach ludzie i zwierzęta popaleni, porozrywani... Widoki nagich trupów wstrząsały do głębi. Na pobojowisku niektórzy grzebali już zabitych, inni szukali wśród nich zaginionych swoich bliskich... Głębokie przerażenie ogarniało nas na samą myśl, gdyby tak któraś z bomb wroga spadła na nasze wozy... Los szczęśliwy zrzucił, że nie stało się tak.

Im bliżej byliśmy Golubia, tym więcej napotykaliliśmy furmanek, którymi – jak my – ocaleni powracali z ucieczki. Na przedmieściu Golubia, w Dobrzyniu nastąpił przymusowy postój wszystkich wozów. Most na Drwęcy był zerwany. Niemcy zbudowali drugi, prowizoryczny, ale na razie tylko dla wojska. Powiedzieli nam, że wozy cywilne będą dopiero za dwa dni lub trzy mogły przejechać na drugą stronę. W tej sytuacji mamusia postanowiła, żeby do domu iść pieszo. Furmanki pod opieką woźniców pozostały więc w niezliczonej masie wozów na przedmieściu Golubia-Dobrzynia, a my z wieloma znajomymi powędrowaliśmy już na własnych nogach, młodszy zaś na plecach starszych, byle prędzej do domu. Ludzie zbratani nieszczęściem chętnie pomagali mamusi w niesieniu nas, maluchów, na rękach i „na barana”, sami jednak nie podolalibyśmy przemaszerować pieszo około 15 kilometrów.

W domu byliśmy późnym wieczorem, nieludzko zmęczeni, ale bardzo szczęśliwi, bo zdrowi i znów pod własnym dachem. W czasie naszej nieobecności w Pływaczewie wojsko niemieckie urządziło sobie nocne kwatery. We wszystkich niemal zabudowaniach pozostały legowiska z siana i słomy, na których spali żołnierze. W domu szuflady z szaf i biurka leżały w nieładzie na podłodze, zaś drzwi do jednego pokoju, które przed ucieczką zamknęliśmy na klucz, były wyłamane. W innych pokojach – ogólny rozgardiasz i nieporządek. Zginął jedynie ojca motocykl, zabrany najprawdopodobniej przez wojsko.

Dwie doby minęły, gdy od strony Golubia-Dobrzynia powróciły nasze furmanki. Jeden zaprzęg konny ciągnął teraz dwa dyszlem połączone wozy, jednak co lepsze konie zarekwirowało po drodze wojsko. Stopniowo uporządkowaliśmy całe obejście i ludzie zabrali się znów do codziennej pracy. Nam było szczególnie smutno, bo nie wiedzieliśmy, jaki jest los ojca, który z Warszawy dotąd jeszcze nie wrócił.

Dziesięć dni października

Po wielu dokuczliwie wydłużających się dobach, z zaniepokojeniem i utęsknieniem oczekiwany przez nas ojciec powrócił do domu dnia 7 października. Razem z nim wróciło w dom szczęście rodzinne. Objawom dziecięcej radości nie było wprost końca. Skakaliśmy z uciechy, ale mamusia ucieszyła wybuchy naszej wesołości widząc, że tatuś ledwie trzyma się na nogach. Przedzieraniem się przez linię frontu wojennego oraz ponad miesięczną tułaczką, długą i przeważnie nocną, o głodzie i chłodzie, wędrówką był tak wyczerpany, że w domu natychmiast położył się do łóżka. Z wysoką gorączką przeleżał cały tydzień. Otoczony troskliwą opieką mamusi powracał jednak z każdym dniem do zdrowia.

Ledwie rozeszła się wieść o tym, że ojciec jest już razem z nami, na podwórze przyszedł Niemiec Struwe. On teraz we wsi był sołtysem.

- Guten Tag, Frau Klimek – burknął pod nosem, gdy w progu domu ujrzał naszą mamusię.
- Dzień dobry – odpowiedziała i uczyniła gest powitania, ale on nie podał ręki.
- Od dzisiejszego dnia – oświadczył – gospodarstwo wasze przechodzi pod mój zarząd. Przeszedłem po klucze od wszystkich budynków inwentarskich. Proszę przynieść mi je natychmiast.
- Co to ma znaczyć, Herr Struwe? – zapytała przerażona tonem jego głosu.
- Żadnych pytań, rozumiecie – rzekł twardo – To rozkaz!

Zawróciła do domu i w pierwszej chwili nie mogła pojąć, dlaczego pan Struwe stał się tak agresywny. Od dziesiątków lat sąsiedował z nami przez pole i przed wojną wiele razy bywał w naszym domu. Wiele też razy korzystał z pomocy naszego tatusia w sprawach urzędowych. Czyżby nagle zapomniał o tym? – Skąd ta wrogość?... Trudno było mamusi zrozumieć jego zachowanie, ale rozkaz wykonała.

Wzięła z domu pęk kluczy od kłódek wszystkich drzwi obory i zaniósła Struwemu. Odbierając klucze pouczył ją, że bez jego pozwolenia nie wolno z gospodarstwa brać nam nawet ziarna dla kur ani dokonywać uboju zwierząt. Nawet węgiel na opał będzie przez niego wydzielany... Odchodząc, na słupie

bramy podwórzowej nakleił urzędowy papier z rzucającym się w oczy dużym napisem „Beschlagnam” – zajęte!

Odtąd codziennie rano zjawiał się w naszym gospodarstwie, wydawał „spod klucza” co trzeba i przydzielał robotnikom prace. Któregoś dnia pobiegł za nim do chlewu najmłodszy z nas, Romek, i z dziecięcą szczerością głośno zawołał:

– Panie Struwa, to nasze świnie!

Ale Struwe udawał, jakby wcale tych słów nie słyszał. W ogóle zaczął unikać polskiej mowy, choć znał ją doskonale. Wszystkie rozkazy wydawał po niemiecku i tylko wtedy, gdy ktoś zupełnie nie rozumiał o co mu chodzi, wykrztuszał pogardliwie polskie słowo.

* * *

W czasie choroby ojca wielu dobrych ludzi odwiedzało nasz dom. Opowiadali, że miejscowi Niemcy z każdym dniem gorzej traktują Polaków, że w Kowalewie i Wąbrzeźnie mówią o aresztowaniach, rozbojach i egzekucjach bez wyroków. Doradzali ojcu ucieczkę z domu, był wszak posłem na Sejm z okręgu toruńskiego, a hitlerowcy w pierwszej kolejności mordowali tych, którzy zaliczani byli do inteligencji. Ale ojciec nie dowierzał zasłyszczanym wieściom. Przyjaciołom zaś na ich rady spokojnie odpowiadał:

– Nikomu w życiu, rodakowi czy Niemcowi, nic złego nie uczyniłem. Nie mam takich wrogów, którzy mogliby szukać na mnie pomsty. Doprawdy nie widzę powodu, dla jakiego miałbym opuszczać całym sercem oddaną mi żonę, ukochane dzieci i ten skrawek ziemi rodzinnej... Gdzie i po co uciekać?... Widziałem w Warszawie, jak wielu dygnitarzy państwowych uciekało na południe... Mógłbym razem z nimi już tam... Powtarzam jednak – dlaczego? Nie mam nic takiego na sumieniu, że musiałbym kryć się przed kimkolwiek.

Ojciec był dobrym człowiekiem – to prawda, ale byłoby lepiej, gdyby wówczas posłuchał rad życzliwych mu ludzi. Lecz któż wtedy mógł cokolwiek przewidzieć. A Struwe węszył i czekał tylko, kiedy ojciec wstanie z łóżka...

W niedzielę, dnia 15 października ojciec czuł się już na tyle dobrze, że wstał z łóżka i powoli chodził w mieszkaniu. Osłabienie nie ustępowało jeszcze. Od dłuższego czasu chorował na żołądek, który teraz znów bolał go dokuczliwie. Cierpienie znaczyło się smutkiem na jego twarzy. Wieczorem usiadł na kanapie i zamyślił się głęboko. Kiedy mamusia weszła do pokoju, kazał jej spocząć obok siebie, objął serdecznie ramieniem i powiedział:

– Niedługo chyba umrę... Co ty biedna poczniesz z sześciorgiem naszych maleństw?...

– To niemożliwe! – zawołała przejęta nagłą trwogą i lzy zakręciły się jej w oczach.

Przypomniała sobie, że te straszne słowa już nieraz jak bumerang wracały na jego usta. Nie chciała być przesadna, ale dzisiaj słowa jego mimowolnie kojarzyła z jakże na krótko przed wojną częstym i przeraźliwym hukaniem sowy w ogrodzie, ilekroć on wracał z dworca nocą ze służbowej podróży. Hukaniom takim starsi we wsi ludzie przypisywali zawsze wywoływanie śmierci. Przetrwowało to w tradycji pokoleń z bardzo dawnych czasów i wzięło się zapewne ze starogreckiej legendy, która głosi, że kiedy umarł Diomedes, w czasie pogrzebu sowy śpiewały jemu aż do grobu pieśń żałobną. Głos tych ptaków brzmiał jak szloch...

Przypomniała sobie, jak pewnego dnia szli razem w pole i na dachu stodoły zauważyli aż dwie sowy. Ojciec zawrócił wówczas do domu i Reginie, pokojówce naszej, polecił przywołać natychmiast Melkowskiego, który co noc stróżował w gospodarstwie. Dał jemu nabitą fuzję, a sam wziął dwustrzałową dubeltówkę. Tak uzbrojeni podeszli do stodoły. Sowy w pewnym oddaleniu od siebie jakby spały na krańcach jej dachu.

– Ty, Janek – zwrócił się ojciec do Melkowskiego – celuj w tę dalszą z lewej strony. Ja załatwię tę bliższą, siedzącą na wprost.

Z łoskotem rozległy się najpierw dwa niemal jednoczesne wystrzały i zaraz jeszcze następny z dubeltówki ojca. Sowa z lewej strony spadła z dachu martwa od kuli Melkowskiego, a ta „ojca” – odfrunęła, pozbawiona częściowo tylko piór. Ojciec zwiesił wtedy głowę i po raz pierwszy powiedział niczym wyrocznia:

– Chyba umrę niedługo... Ty, Janek, zabiłeś „swoją”, więc żyć będziesz . „Moja” – jeszcze za mną przyleci...

* * *

Po niezbyt spokojnie przespanej nocy, w poniedziałek, dnia 16 października ojciec wstał wcześniej rano. Ogolił się, wykąpał i ubrał jak do wyjścia. Śniadanie zjadł z apetytem i poczuł się na tyle dobrze, iż odważył się wyjść na dwór. Zapragnął chociaż popatrzeć na ludzi, którzy tego dnia pracowali przy sortowaniu i składaniu w tak zwane bale wysuszonych liści tytoniu z jego prawie 5-hektarowej

plantacji. Najpierw, jakby dla sprawdzenia samopoczucia, poszedł na spacer do sadu. Chwilami przystawał i wpatrywał się w dorodne jabłonie, które sam kiedyś sadził, teraz już złotem jesieni przyprószone i bezszelestne w oczekiwaniu na spoczynek zimowy. Spacerując tak między drzewami w pewnej chwili zza płotu spostrzegł na podwórzu Struwego. Uczył z daleka gest powitalny, ale Struwe obrócił się natychmiast tyłem do niego i szybkim krokiem zniknął z podwórza.

Około godziny dziewiętej przyjechał do nas w odwiedzinach dalszy krewny ze strony ojca, Przybyszewski. Był on kupcem w Kowalewie. Ojciec pomógł mu wyprząć konia od wozu, po czym razem udali się do domu na gorącą herbatę. Wujek przywiózł z pierwszej – jak to się mówi – ręki niedobre wiadomości o dokuczliwym panoszeniu się Niemców w Kowalewie i nieludzkich poczynaniach tak zwanego Selbstschutzu pod bezpośrednim kierownictwem Heinza Borrmanna, właściciela zakładu ogrodniczego. Na twarzy gościa znać było niepokój, dający się odczuć także w jego głosie. Ojciec w milczeniu wstał od stołu i zaczął przechadzać się niecierpliwie od drzwi do okna, od okna do drzwi. Niepokojącą ciszę przerwała mamusia.

– Wyjdźcie trochę na powietrze dla rozproszenia złych myśli – powiedziała łagodnie. – Ja tymczasem sprzątnę ze stołu.

Tatusz zabrał gościa i razem poszli do spichlerza, usytuowanego nad oborą, do ludzi pracujących przy składaniu tytoniu.

W kilka zaledwie minut potem na podwórzu, tuż przed domem, zjawili się dziewięciu Niemców, członków miejscowego Selbstschutzu. Na ich czele kroczył Struwe. Butna ich postawa, głowa zadarta do góry, pogardliwy wzrok i zuchwały ton głosu pozwalały wnioskować, że nabrali już pewności panoszenia się w cudzym i zdolni są pozwalać sobie na wiele. Pies, który na ich widok zerwał się z łańcucha i wściekle ujadając niebezpiecznie doskoczył do jednego z nich, został butem tak mocno kopnięty, że ze skowytym odleciał daleko.

Mamusia zawsze wychodziła gościom naprzeciw, więc i tym razem, słysząc ujadanie psa, stanęła w progu drzwi na schodach. Zapytana o męża, odpowiedziała, że w domu go nie ma. Tatusz w tym czasie stał już chwilę w oknie spichlerza i obserwował przybyłych Niemców, rozpoznając kolejno jeszcze sprzed wojny znane sobie ich twarze. Robotnicy przerwali pracę, otoczyli go półkolem i zaproponowali, że ukryją go choćby pod liśćmi tytoniu. Gajewski, Czarnecki, Florkiewicz, Kowalski – wszyscy prosili naszego tatusia, żeby nie pokazywał się nawet w oknie. Tatusz jednak ich nie usłuchał.

– Nie mam się czego obawiać nawet gdyby i dwudziestu Niemców przyszło. Nic złego mi nie zrobią, bo i za co? Przecież sami dobrze wiecie, że ja nikogo nie skrzywdziłem – powiedział spokojnie i szedł schodami na podwórze.

Struwe pierwszy zbliżył się doń.

– Pójdzie pan z nami, panie Klimek – rzekł ze stanowczością w głosie. – Chodzi o przesłuchanie na policji. Proszę ubrać płaszcz. Pojedzie pan do Wąbrzeźna.

Mamusia podbiegła, jakby własnym ciałem chciała osłonić go przed intruzami. Tatusz bez słowa objął ją czule w ramiona. Po chwili odwróciła się do Niemców. Prosiła o wyjaśnienie, dlaczego przyszło ich aż dziewięciu? I – na jak długo zabierają jej męża?

Wstrętnie uspokajali, że to tylko formalność, że codziennie wielu Polaków jest przesłuchiwanym i nawet włos z głowy im nie spada, że przed wieczorem wróci do domu, a gdyby przesłuchanie przedłużyło się do jutra – oni tego naprzód nie wiedzą – to niech lepiej od razu weźmie ze sobą kubek do picia i łyżkę do zupy, żeby miał czym zjeść posiłek, jaki tam z pewnością dostanie.

Struwe rozglądając się wokół zauważył przed stajnią nie naszą furmankę. Łatwo odgadł do kogo należy, wszak nazwisko i adres właściciela widniały na tabliczce umocowanej z boku wozu. Zresztą wóz Przybyszewskiego poznałby i bez tej tabliczki. Jednemu z Niemców polecił sprowadzić go ze spichlerza i rozkazał, żeby wujek jechał razem z naszym tatusiem.

Za ubranym już w płaszcz i wychodzącym z domu ojcem wszyscy sześcioro wybiegliśmy na podwórze. Najmłodszego, Romka, mamusia wzięła na rękę. Tatusz kolejno uściskał nas mocno i ucałował serdecznie. W końcu pożegnał się z mamusią i wsiał za wujkiem do czekającej na nich przy bramie powózki. Pozostałe miejsca zajęło czterech z tych co przyszli, a pięciu odeszło pieszo. Konie ruszyły. Mamusia – i nie tylko ona – miały łzy w oczach. Pobiegliśmy za powózką aż na koniec podwórza. Rita wybiegła jeszcze dalej i wołała:

– Tatusiu, nie bądź długo! Prędko wracaj do nas!

Póki konie nie skręciły w lewo, na szosę w kierunku Wąbrzeźna, tatusz odwracał się ku nam i żegnał, machając podniesioną ręką...

Od Annasza do Kajfasza

Ojciec nie wrócił wieczorem ani rano. Mamusia zatroskana o jego los postanowiła udać się do znajomych Niemców, by zasięgnąć od nich informacji i rady. Liczyła też na ich poparcie. Nie przypuszczała, że czeka ją wędrowka iście od Annasza do Kajfasza.

17 października rano, ledwie weszło słońce, pojechała rowerem do Mlewca, odległego kilkanaście kilometrów od naszej wioski. Mieszkał tam Niemiec, Kerner, człowiek uczciwy, dobry nasz znajomy sprzed wojny. Prosiła go o radę i pomoc. Kerner okazał się bardzo serdeczny i gościnnie. Poczęstował mamusię kawą, ale w sprawie ojca był zupełnie bezradny.

– Wszystko teraz ogłupiało – mówił wstrząśnięty wieściami o nieludzkim postępowaniu swych rodaków. – Nam, starym Niemcom to się w głowie nie mieści, co ci hitlerowcy wyprawiają. Ja niestety, biedna kobieto, nie mam dziś u nich żadnego posłuchu. Cóż ja pani poradzę? – rozłożył szeroko ręce.

Wróciła do domu niepocieszona.

Następnego dnia dowiedziała się, że przesłuchania wszystkich zatrzymanych Polaków odbywają się w pomieszczeniach wąbrzeskiej fabryki gumy, tak zwanej Pepegówce. Zanim udała się do Wąbrzeźna szczegółowo określiła nam, dokąd się wybiera i pouczyła przeczornie:

– Dzieci kochane! Jeśli nie wrócę dziś do was oznaczać to będzie, że Niemcy zamknęli także mnie. Wówczas wszyscy sześcioro przyjdźcie jutro za mną, stańcie na ulicy pod oknami budynku policji i płaczcie głośno tak długo, aż mnie wypuszczą...

W Wąbrzeźnie skierowała swe kroki prosto do Pepegówki, ale stojący w bramie esesman zabronił jej wejścia. Bez przepustki nie wpuszczał nikogo. Nie pomogły najgorętsze nawet błagania. Stanowczo rozkazał mamusi oddalić się, w przeciwnym razie będzie strzelał. Cofnęła się na ulicę i obeszła budynek fabryczny z drugiej strony. Smutnymi oczyma sięgała do okien od piwnic po najwyższe piętro. Nagle serce jej załomotało. W uchylonym oknie na trzecim piętrze dostrzegła twarz mężczyzny.

– Halo! Halooo! – zawołała głośno, coraz głośniej. – Proszę pana! Jest tam może mój mąż?

– Nie wiem – odpowiedział mężczyzna z okna. – Jest tu nas wielu... Jak nazywa się pani mąż?

– Klimek! Władysław Klimek! Poseł z Pływaczewa...

– Klimek jest. Znam go. Widziałem...

Serce mamusi wezbrało radością. Ogarnęło ją wzruszenie, wzruszające drzenie. „Żyje” – błysnęła w głowie myśl ukojna.

– Jest w pokoju obok – leciały z góry słowa.

– Niech pan poprosi go do okna! – odezwała się niecierpliwie.

– Dobrze. Dam znak pukaniem w ścianę, bo drzwi są zakluczone i przejść nie można. Ale wpiers mam i ja do pani prośbę. Blisko stąd na wybudowaniu jest mój dom. O, tam... Ten osobno stojący... – wyciągniętą ręką pokazywał z miasto. – Widzi go pani?

Przytaknęła wszak przez puste za fabryką pole dobrze widać było jego dom.

– Niemcy zabrali mnie prosto z pola w starych roboczych gumiakach na nogach. Pani powie moim, niech żona albo dzieci przyniosą mi buty!

Przyrzekła spełnić jego prośbę. Wtedy on zniknął w głębi pokoju i po chwili w oknie obok ukazał się nasz ojciec. Nie sposób dziś powtórzyć całej treści tamtego dialogu, w dramatycznej scenerii prowadzonego między dwojgiem brutalnie rozdzielonych małżonków, zatroskanych o swój i sześciorga małych dzieci los.

Pod koniec mamusia zapytała:

– Do kogo mam pójść, powiedz, kogo prosić o wstawiennictwo, o skuteczną interwencję, żebyś mógł jak najwcześniej do nas powrócić?

Nadmieniła, że była już u Knera w Mlewcu, ale on jej w niczym nie pomógł. Ojciec radził:

– Idź do Kriesa w Chełmoniu. Z nim teraz na pewno się liczą..Przed wojną wielokroć razy gościłem w jego majątku. Załatwiłem też jemu wiele spraw. Wart był tego. Obiecywał mi odwzajemnić się za wszystko, gdy tylko nadarzy się sposobna okazja. Idź jutro do niego. Powiedz, że jestem zatrzymany. On na pewno przedzwoni, gdzie trzeba albo sam tu przyjedzie. Dla mnie uczyni wszystko. Przed wojną mówiliśmy sobie po imieniu...

Urwał głos. Mamusia dostrzegła jak w nagłym skurczu twarzy mocno zacisnął usta.

– Drobiazg. Poczulem znów ból żołądka – szybko sam wyjaśnił. – Ale już przechodzi... Zadręczali mnie wczoraj do późnej nocy, żebym wyjawiał, gdzie w Kowalewie ukryty jest magazyn polskiej broni? Przecież w Kowalewie nikt broni nie ukrywał. Oni jednak wciąż swoje. Pistolet przykładają mi do skroni i odgłaszają się...

– Połóż się trochę – odezwała się mamusia troskliwie. – Wytrzymaj jeszcze kilka godzin.

– Ucałuj dzieci ode mnie – rzekł na pożegnanie. – Idź do Kriesa. Kries na pewno mnie uwolni...

Ostatnie jego słowa napawały otuchą. Zamknął okno, lecz pozostał w miejscu i przez szybę długo spoglądał w stronę oddalającej się mamusi, która niemal biegiem zmierzała przez pola za miasto, żeby wpiers powiadomić rodzinę tamtego człowieka, co prosił o buty.

Potem wracała do domu niesiona jakby na skrzydłach. Głos wewnętrzny pocieszał ją, że ratunek dla męża jest możliwy i uwolnienie z rak oprawców więcej niż pewne. Wielką nadzieją teraz dla nich obojga był Kries.

W domu powtórzyła nam prawie całą rozmowę z ojcem. Ukoila dziecięcą tęsknotę i uradowała wiadomością, że najpewniej już jutro tatuś do nas wróci. Wiedziała jednak, że sama musi działać szybko,

żeby z interwencją zdążyć w porę. Nie czekała więc jutra. Pospiesznie zjadła obiad i na rowerze pojechała do Kriesa. Jako Niemiec, w dodatku dziedzic wielkiego majątku w Chełmoniu, miał on teraz duży posłuch w niemieckich urzędach i gdyby tylko zechciał zająć się sprawą uwolnienia naszego tatusia z aresztu, to w sprawie tej mógł uczynić wiele. „Chyba odwdzięczy się za wszystko, co mąż mój bezinteresownie wyświadczył jemu przed wojną – myślała mamusia po drodze. – Przecież obiecał wdzięczność, gdy tylko nadarzy się okazja”...

Przed bramą zsiadła z roweru i zostawiła go przy płocie. Na podwórzu majątku nie było nikogo. Weszła do korytarza pałacowego i zapukała w pierwsze z brzegu drzwi. W ich progu stanął Kries.

– Czego tu chcesz? – zaszwargotał po niemiecku.

Mamusia przedstawiła się kim jest i powiedziała, że mąż ją przysyła w imię dawnej przyjaźni. Błagała o pomoc.

– Ty polska świni! Polnische Schwein! – wrzasnął Kries, gdy usłyszał słowa prośby. – Kto ci pozwolił wejść do mojego domu? Wynoś się stąd! Los twojego męża jest mi zupełnie obojętny (scheisse-gal)! Precz do diabła!

Wyzywał tak podle i głośno, że na jego krzyki wybiegł z pokoju zły, jak on sam, wilczur. Pies skoczył gwałtownie zanim mamusia zdążyła chwycić klamkę drzwi wyjściowych i wściekle gryzł gdzie popadło...

Zraniona i poniżona wracała do nas. Gorycz z doznanego zawodu przepełniła jej serce i piekła w gardle. Przez załzawione oczy ledwie widziała przed sobą wąską ścieżkę rowerową, z której niechcąc zbaczając, upadła w bok na wyboistą drogę i do rowu. Iście krzyżową była dla niej ta droga.

W domu nie przeczuwaliśmy niczego złego. Nad wszystkimi dziecięcymi smutkami naszego losu tym razem górowała jutrzienka nadziei, że mamusia wróci od Kriesa z dobrymi wieściami. Dla skrócenia oczekiwania wybiegliśmy mamusi daleko naprzeciw i dopiero na jej widok owładnęła nami trwoga. Zamiast dobrej nowiny zobaczyliśmy na ciele obu jej rąk i nóg ociekające krwią rany.

– Ten, na którego wdzięczność tatuś wasz najpewniej liczył, okazał się najpodlejszy – powiedziała ze smutkiem i zawróciła nas ku domowi.

Wieczorem ułożyła nas wszystkich do snu, ale sama długo w noc zasnąć nie mogła. Myślała o jutrze, gdzie by jeszcze mogła udać się po radę?...

Rano podeszła do Struwego, gdy tylko on zjawił się na naszym podwórzu. Liczyła, że może zdradzi przynajmniej powody zatrzymania jej męża i poinformuje, od kogo teraz zależy jego dalszy los? Struwe udawał obłudnie, że z aresztowaniami nie ma nic wspólnego, że nie ma też wpływu na sprawę, o jakich decydują wyższe władze. Kazał mamusi iść na policję, do gestapo.

Pojechała znów do Wąbrzeźna, kierując tym razem swe kroki do budynku gestapo. Urzędnik SS wprowadził ją do pustego pokoju, w którym stało tylko kilka krzesel.

– Usiądźcie i zaczekajcie tu – powiedział służbowo i wyszedł. Rozejrzała się wokoło. Na ścianie z boku dostrzegła wgłębienie i rysy, jakby paznokciami ręki ludzkiej zadrapano. W kilku miejscach tynk ściany podziurawiony był otworkami wielkości kuli z pistoletu. Nagły skurcz strachu ścisnął jej serce. Pobladła. Od silnego wzruszenia na czoło wystąpiły zimne krople potu. Oczyma wyobraźni widziała rozstrzelanych pod ścianą... Chwile czekania zdają się być wieczne. Ogarnia ją coraz większy strach. Rozpięła bluzkę pod szyją. Wyjść stąd czym prędzej... Czemu każą jej czekać tak długo. Wreszcie zgrzytnęła klamka drzwi. Do pokoju wszedł gestapowiec z trupią czaszką na czapce.

– Jesteście chora? – pyta.

– Nie. Nie jestem chora – mówi mamusia bliska omdlenia.

– To od czego jesteście taka blada?

– Boję się. Duszno tu. Proszę o szklankę wody...

Spełnił prośbę. Poczuli się trochę lepiej. Ale jeszcze każą czekać. I co jakiś czas bez słowa przechodzą przez pustą izbę...

Po godzinnym, a może i dłuższym czekaniu – ten, który przyniósł jej szklankę wody, zawołał:

– Kommen Sie! Proszę.

Weszła do pokoju obok. Stała na wprost ściany, na której wisiał wielki portret Adolfa Hitlera. Siedzący za biurkiem esesman z pozornym zainteresowaniem wysłuchał o co chodzi. Następnie rozprężył się w wygodnym fotelu i powiedział:

– Twój mąż przewieziony został dziś w nocy do lagru do Bydgoszczy. Zachorował. W lagrze ma zapewnioną dobrą opiekę. Skoro tylko wyzdrowieje, pojedzie do Niemiec na roboty. Stamtąd wróci dopiero, gdy skończy się wojna. Z pewnością nie wcześniej, jak za pięć lat... Idź więc, kobieto, spokojnie do domu. Twojemu mężowi już teraz nie stanie się nic złego. Wysła, serce miała niespokojne. Trudno jej było uwierzyć w prawdziwość słów esesmana. – A jeśli on kłamie?... A może zabili już mego męża?... Różne myśli krążyły po głowie. Co ja powiem biednym swoim dzieciom?... Jak to on się wyraził – „za pięć lat”?... Czyżby tak długo miała trwać ta przekłeta wojna?... Aż pięć lat?...

Z wąbrzeskiego gestapo zamierzała wrócić już do domu, ale po drodze zmieniła zamiar. Pojechała rowerem w kierunku Mlewca, raz jeszcze do starego Kenera. Opowiedziała jemu wszystko, o czym mówił tamten esesman. Kerner po dłuższym namyśle skonstatował:

– Jeśli to prawda, co powiedzieli pani w gestapo, to z pani mężem nie jest jeszcze tak źle. To znaczy, że nie jest w sytuacji beznadziejnej i można będzie mu pomóc. Wpierw jednak trzeba upewnić się, czy mówili prawdę?... Niech pani idzie do wójta Kilpera i do Borrmanna, tego ogrodnika w Kowalewie. Jest pani matką sześciorga dzieci. Proszącej matce chyba za drzwi nie będą kazali wyjść. Jeśli potwierdzą, że z Wąbrzeźna rzeczywiście wywieziono pani chorego męża do lagru, wówczas proszę przyjść do mnie z powrotem. Znam w Bydgoszczy niemieckiego lekarza, bardzo zacnego człowieka. Jeszcze dziś pojechałbym do niego samochodem. On na pewno załatwi, że z lagru przekażą pani męża do szpitala pod jego opiekę. W ten sposób może uda się nam go uratować. Jeśli jednak wójt i Borrmann powiedzą co innego albo w ogóle nic nie powiedzą, to już gdzieś indziej niech pani nie chodzi. Proszę wtedy wrócić do dzieci. Jest wojna. One teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebują troskliwej opieki. Kto wie, a może pani męża wywieziono jeszcze gdzieś dalej?...

Wójt Gminy w Kowalewie, Kilper, nie przejawiał zbytniego zainteresowania sprawą naszego ojca.

– Nie znam – rzekł oschle – losu ludzi, którzy dostali się w ręce gestapo. Wielu jest teraz aresztowanych i wywożonych do różnych miejsc. Ja nie interesuję się tego rodzaju sprawami. Mam co innego do roboty. O losie pani męża poza tym, że zabrany był na przesłuchanie, nic więcej nie słyszałem.

– Czy radzi mi pan pójść jeszcze do Borrmanna? – zapytała.

– Jeśli mam być szczerzy – powiedział wójt – tylko on może udzielić pani najbliższych prawdzie informacji.

Poszła więc z Gminy prosto do Borrmanna. Zastała go przed progiem biura. Nawet nie poprosił do środka.

– Mąż wasz jest już bardzo daleko – oświadczył dyletancko.

– Niech pan powie, Herr Borrmann, gdzie? – błagała. – Chciałabym jemu pomóc.

– On waszej pomocy nie potrzebuje. Niczego nie potrzebuje – odrzekł Borrmann bez chwili namysłu.

Ostatnie słowa zatrwożyły ją bardzo. Czyżby stało się to najgorsze?... Skoro „niczego nie potrzebuje”, może już nie żyje?...

– W gestapo powiedziano mi, że jest chory i przewieziony został do Bydgoszczy. Esesman więc kłamał? – rzekła pytająco i z lękiem czekała, co Borrmann odpowie.

– Esesman nie kłamał! – wrzasnął wściekle. – Rano jeszcze był w Bydgoszczy, ale teraz wiozą go dalej, do lagru roboczego w Altreichu. Niemcy prowadzą wojnę i potrzebują dużo rąk do pracy. Jeszcze niejednego stąd wywieziemy!...

Błysk nadziei rozproszył na moment jej czarne myśli. On tymczasem nastroszył się jak dziki zwierzę i zawołał:

– Jeśli tak koniecznie chcecie znać prawdę, to powiem wam: „Ich hab das gemacht”! Ja to zrobiłem, że nie macie dziś męża! Wasz mąż przed wojną nami rządził i teraz nam zawadzał. Od rządzenia jesteście tylko my, Niemcy! Nikt inny...

Wszystkiego już nie słyszała. W uszach jej brzęczały tylko słowa: „Ich hab das gemacht”... „Ja to zrobiłem”... Potworna była wymowa tych słów. Całą głębią duszy odczuła w nich koszmar ogromu cierpienia i grozę śmierci. Oko w oko stała przed obliczem kata i aż nadto dobrze zrozumiała beznadziejność swoich starań.

Niesłychane okrucieństwa

W 1939 roku i w dalszych latach okupacji hitlerowcy taili przed nami prawdę o losie, jaki zgotowali naszemu ojcu. Domyślaliśmy się, że udzielone przez nich informacje – o wywiezieniu go w głąb Rzeszy – są wykrętne i kłamliwe. Z drugiej jednak strony unikaliśmy złych domysłów i jakakolwiek wiadomość o tym, że gdzieś żyje, była zwiastunką dobrej nadziei i osuszała nam łzy tęsknoty. Łudziliśmy się tą nadzieją i pocieszaliśmy z dnia na dzień, że jeżeli nie dziś to z pewnością jutro ojciec powróci w rodzinne progi. Tymczasem następowało wciąż nowe jutro i pojutrze, a ojciec nie wracał. Nigdy już do nas nie wrócił.

Hitlerowcy zamordowali naszego ojca w bestialski sposób w październiku 1939 roku, w kilka zaledwie dni po jego uwięzieniu. Szczegóły niesłychanych okrucieństw miejscowego Selbstschutzu, szczegóły tragedii tamtych dni wyszły na jaw dopiero po wojnie. Tragiczna prawda o losie naszego ojca ujawniła się przed nami w pełni dopiero w 1949 roku – prosto z sali sądowej, z zeznań naocznych świadków, z relacji prasy. W czwartek dnia 10.03.1949 roku bydgoski dziennik prasowy „Ilustrowany Kurier Polski” informował, że „Kat hitlerowski Heinz Borrmann odpowiada za znęcanie się nad Polakami”.

Nie wszystkich spotkała zasłużona kara. Proces w Kowalewie Pomorskim był tylko procesem ogrodnika Heinza Borrmanna. Karząca ręka sprawiedliwości nie dosięgła jeszcze pozostałych aktywistów

Selbstschutzu jak m.in.: Struwe, Pieck, Kries... To oni w zмовie z Borrmannem wtedy, w październiku 1939 roku skazali tysiące Polaków, a wśród nich także naszego ojca, na niesłychane okrucieństwa, męczeństwo i śmierć. Z ich inicjatywy funkcjonariusze gestapo przez kilka długich dni maltretowali niewinnego człowieka, głodem morzyli w fabrycznych piwnicach Pepegówki w Wąbrzeźnie i nocami w kale zanurzonego trzymali... Po kilku dobach takiej gehenny, zupełnie wyczerpanego, razem z innymi współwięźniami transportowali nocą w samochodach ciężarowych do piaskowni w lesie, we wsi Łopatki, odległej o około 10 kilometrów drogi od Wąbrzeźna. Więźniowie musieli tam sami dla siebie wykopać wspólny grób. Potem ustawili ich w szeregu na krawędzi dołu, a z przeciwnej strony, na wzniesieniu – karabin maszynowy, z którego lufy ogniem zionęły kule. Nie wszystkich od razu uśmiercały pociski ołowiane, więc i tacy na wpół żywi wpadali do dołu... Kiedy ich potem zasypywano, ziemia poruszała się jak żywa i w mrocznej głębi szlochała jękiem bólu ich umierania...

W taki bestialski sposób zamordowano w Łopatkach około 2500 Polaków. W zamiarze zatarcia śladów tej ohydnej zbrodni – hitlerowcy tuż przed końcem wojny wykopali zwłoki pomordowanych i spalili je na popiół...

Jeszcze w październiku Struwe przyszedł do nas z jednym czarno umundurowanym gestapowcem, którego przedstawił jako pełnomocnika Komisji Wyszedeńczej z Gdańska. Komisja ta obejmowała swym działaniem prowincję Gdańsk-Prusy Zachodnie, to jest wcielone przez okupanta do Rzeszy terytory, z których Polaków należało wysiedlić bądź zniemczyć. Mamusia rozmawiała z gestapowcem w języku niemieckim, co od razu wywarło na nim dobre wrażenie. Znała trochę ten język, uczyła się go w szkole jeszcze pod pruskim zaborem.

Niemiec obejrzał dokładnie wszystkie zabudowania gospodarskie, przeszedł się także na pole. Kiedy wracał, mamusia wprowadziła go do domu i skierowała prosto do naszego dziecięcego pokoju. Na widok „czarnego gościa” stanęliśmy rzędem wedle wieku i także wzrostu. Na sobie mieliśmy jednakowego koloru i podobnego kroju ubranka, Rita zaś z tego samego materiału sukienkę. Esesman głową kręcił z podziwu i aż westchnął, gdy wśród nas sześciorga doliczył się aż pięciu chłopców.

W naszym, dziecięcym, pokoju tuż przy oknie znajdowała się długa szkolna ławka. Mamusia kazała nam w niej usiąść, każdemu na swoim miejscu. Niemcowi podobał się bardzo nasz schludny wygląd i to, że byliśmy posłuszni na każde skinienie mamusi. Zbliżył się ku nam i pytał o imiona i szkołę, do jakiej ходzimy. Następnie usiadł na końcu ławki, wyciągnął z teczki jakieś papiery i zaczął pisać protokół. Pisane wyrazy sylabizował głośno, a za każdym z jego słów stojącemu przy drzwiach Struwemu twarz bladła, to znów siniała.

Gestapowiec zaprotokółował, że mamusia zna język niemiecki, że dzieci są zdyscyplinowane, zdolne i grzeczne, posiadają w większości blond włosy, a więc „podpadają” pod rasę nordycką. Spisał wszystkie dane personalne i w końcu postawił wniosek: „Matkę z dziećmi należy przesiedlić do Niemiec i otoczyć szczególną opieką jako ludzi wartościowych dla narodu niemieckiego. Dzieci skierować od razu do szkół. W zamian za dobrze utrzymane gospodarstwo i wysokiej klasy ziemię, za ich własność, jaka pozostawia w Pływaczewie, wypłacić odszkodowanie w wysokości 80% wartości majątku, licząc po najwyższej cenie...”

Struwego omal szlag trafił. Z kopią protokołu pobiegł natychmiast do Piecka, podlego jak on zebstszucowca z Otorudy. Wściekali się obaj.

– Ją z dziećmi trzeba wywieźć do Generalnej Guberni. Tam jest ich miejsce. Tam powinni zdechnąć... Albo prosto do łagru, a nie do Rzeszy. Przecież te małe polskie diabły – wrzeszczał Struwe, mając nas na myśli – jeśli pozwolimy im dorosnąć, będą mścić się za śmierć swego ojca... Jeszcze mamy dawać im odszkodowanie?... Naszym niemieckim chlebem karmić bandytów... Ten esesman z Gdańska jest chyba niespełna rozumu...

Z Pieckiem pojechał do Borrmanna do Kowalewa. Rozdzwoniły się telefony. Szaleli dni kilka aż w końcu przez Gdańsk unieważnili protokół i kopię jego podarli jako niebyłą.

W pierwszych dniach listopada sprowadził Struwe nowego pełnomocnika Komisji Wyszedeńczej. Przybyły tym razem esesman rozmawiał z mamusią bardzo krótko i urzędowo. Nas dzieci nawet widzieć nie chciał. Leżeliśmy chorzy na odrę. Gestapowiec polecił mamusi, ażeby dołożyła maksymalnych starań w kierunku przyspieszenia naszego powrotu do zdrowia. W protokóle zapisał: „Rodzina jest całkowicie polskich przekonań. Nie zasługuje na pozyskanie dla niemieckości. Wywieźć do Generalnej Guberni – bez odszkodowania...”

Odpowiednio poinstruowany Pieck zjawił się w naszym domu z samego rana 16 listopada 1939 roku.

– Ubierajcie się – rozkazał mamusi. – Pojedziecie ze mną do Kowalewa na Ortskommandantur. Musicie stanąć jeszcze dziś przed Komisją Wojskową po skierowanie na wyjazd do Generalnej Guberni.

Rozkaz był tak stanowczy, że nawet mowy być nie mogło o stawieniu oporu. Pojechała więc mamusia z Pieckem do Kowalewa. Wprowadził ją do budynku Ortskommandantur, prosto do biura, gdzie urzędowała Komisja Wojskowa. W skład tej komisji wchodziło ośmiu niemieckich oficerów, w tym jeden pastor ewangelicki.

Po spisaniu przed Komisją danych osobowych i majątkowych dotyczących naszej rodziny, od razu (w oparciu o protokół wysiedleńczy sporządzony przez Funkcjonariusza SS, tego co był u nas, gdy chorowaliśmy na odrę), wydano mamusi imienne skierowanie do Kielc. Skierowanie było ważne do 2 grudnia 1939 roku. Niezależnie jednak od tej daty, na żądanie Piecka, wyznaczono mamusi termin dwudniowy na spakowanie się i opuszczenie Pływaczewa. Ostatecznie więc już 18 listopada miała być gotowa do drogi razem z nami sześciorgiem dzieci. Ustalono też, że z gospodarstwa możemy zabrać jednego konia i wóz, jako własny środek transportu do Kielc. Po tych ustaleniach przewodniczący Komisji wyprosił Piecka na korytarz, nakazując mamusi pozostanie jeszcze przez chwilę sam na sam z Komisją.

– Ma pani krewnych albo choćby znajomych tam w Kielcach? – zapytał jeden z członków Komisji tonem już mniej urzędowym.

– Nikogo – odrzekła smutnie.

– A gdzie jest wasz mąż?

– Nie wiem... Zabrali go ci z Selbstschutzu. Chodziłam, pytałam o jego los, ale każdy mówił co innego.

Przez moment w pokoju zapanowało milczenie. Siedzący za stołem wymienili wzajemnie takie spojrzenia, jakby domyślali się prawdy o tym, co stało się z naszym ojcem.

– Powiedzcie, jak to wasze gospodarstwo wygląda? – przerwał ciszę starszy oficer.

– Gospodarstwo jest duże i ziemia urodzajna – odpowiedziała. – Zabudowania obszerne. Piętrowy, prawie stuletni dom, całkowicie odrestaurowany w 1929 roku.

– Prawie stuletni? – z zaciekawieniem odezwał się siedzący pośrodku. – Czy to znaczy, że już od stu lat mieszkali w nim wasi ojcowie?

– Od około trzystu lat, panie oficerze, prapradziadem był Klimek – wyjaśniła. – Gospodarstwo przechodziło z ojca na syna.

Znowu chwila ciszy i milcząca wymiana spojrzeń za stołem.

– A w jakim stanie są pozostałe budynki? – odezwał się znów starszy oficer.

– Obora nowa z cegły i żelazobetonu, wybudowana niedawno, w 1937 roku, wraz z pierwszymi w naszej okolicy silosami do kiszzonek. Dwie stodoły, w tym jedna przystosowana specjalnie do suszenia tytoniu z pięciohektarowej plantacji.

– Widzisz! – jeden z członków Komisji przechylił się w stronę siedzącego obok i szepnął na tyle głośno, że mamusia dosłyszała, co mówił. – Oni dzielą między siebie najlepsze gospodarstwa i takich, jak ta kobieta z dziećmi, wyrzucają pod gołe niebo. To jest prawdziwy szwindel! Z nas robią sobie parawan. Akceptujemy ich protokoły, dajemy wysiedlanym zaświadczenia na drogę, żeby nazywało się, że wszystko przebiega legalnie...

– Wracajcie, kobieto, do domu – powiedział głośno ten, który był pastorem. – Nie dajcie się wyrzucić, bo dzieci poumierają wam w drodze. Gdy przyjdą po was i będą chcieli brać siłą, ustawcie przed nimi dzieci a sama rzućcie się na ziemię. Powiedzcie im, niech najpierw zabiją wasze dzieci. Tego oni nie zrobią.

– Zna pani starostę w Wąbrzeźna? – zapytał starszy oficer.

– Wiem, że nazywa się Lorei.

– Zgadza się, Lorei. Idźcie jutro do niego. Jedno jego słowo wystarczy i nikt nie odważy się ruszyć was z gospodarstwa.

Usłuchała tej ostatniej rady.

Następnego dnia wcześniej rano pojechała do Wąbrzeźna. Na dworze było zimno i pochmurno. Padał deszcz.

W Wąbrzeźnie postawiła rower przed gmachem starostwa i spieszenie weszła do środka budynku. Ale już na pierwszych schodach zatrzymał ją portier.

– Dokąd? – zapytał po niemiecku.

– Muszę koniecznie widzieć się ze starostą. To pilna sprawa – odpowiedziała po polsku.

Bardzo rozdrażniła go polską mową. Z wściekłością ciałem swoim zagroził jej drogę i zepchnął ze schodów.

– Raus! – wrzasnął. – Precz! Nie wiesz, że ten urząd jest tylko dla Niemców. Raus! Fur Hunde und Polen eintritt verboten.

Wyrzucił mamusię ze starostwa, popychając aż do drzwi. Chwilę odczekała na dworze i weszła znowu. Wyrzucił powtórnie. Chodziła przed budynkiem tam i z powrotem. Przemokła do suchej nitki i zziębła na wietrze. Nie odeszła jednak i nie poddała się zwątpieniu. Już nie o sobie myślała. „Dzieci... – powtarzała w duchu – dzieci muszą ratować. Ojca teraz nie mają... Muszę je ratować...”

Weszła raz jeszcze i potem znów, tyle razy, póki portier nie ustąpił. A ustąpił dopiero, gdy zobaczył, że jest zupełnie przemoknięta i cała dygoce z zimna.

Wbiegła po schodach. Spojrzała na wskazówki zegara. Zbliżała się godzina trzynasta. Od rana więc aż do tej godziny, tyle czasu trzymał ją na deszczu. Cierpliwość jej nie poszła jednak na marne. Szyb-

kimi krokami przemierzyła sekretariat starosty i zapukała wprost do drzwi jego gabinetu. Nie czekając na pozwolenie wejścia, weszła. Lorei od razu wstał zza biurka, zdumiony na jej widok.

– Menschlich Kind, kobieto. – zawołał i przesunął w jej stronę stojące obok krzesło. – Usiądźcie. Skąd przychodzicie taka mokra i drżąca? Co się stało?

Opowiedziała wszystko po kolei. Płakała nad losem naszym, jej dzieci. Wyraziła obawę, że w drodze do Kielc zmarzniemy na śmierć. Prosiła o litość, o słowo zapewnienia, że nie będą wyrzucać z domu przynajmniej teraz, przed zimą.

– Powiedźcie panu Struwemu i jego koledze Pieckowi – usłyszała, ocierając łzy – powiedźcie im, że byliście u mnie. Ja jeszcze nic nie wiem o wysiedleniach z Pływaczewa. Niech ci panowie przestaną rządzić się na własną rękę w tego rodzaju sprawach. Mogę was zapewnić, że na jutro nie przewiduje się żadnej akcji wysiedleńczej w podległym mi powiecie. Ja pierwszy musiałbym o tym wiedzieć.

Usiadł za biurkiem i nacisnął mały guziczek. Chwilę potem do pokoju weszła sekretarka.

– Proszę o szklankę gorącej herbaty – rzekł.

– Właśnie zaparzyłam. Już podaję – odpowiedziała i zaraz przyniosła herbatę.

Starosta wskazał, żeby podała mamusi.

– Napijcie się, proszę. Trzęście się cała. To was rozgrzeje.

Podziękowała i oburącz uchwyciła szklankę tak, żeby wpięć ogrzać dłonie.

– Mówili wam może, jakim transportem chcą wywieźć? – zapytał starosta, gdy sekretarka opuściła jego gabinet.

– W Kowalewie ustalili, że pojedziemy do Kielc wozem jednokonnym – odrzekła. – Ale wczoraj wieczorem już zmienili zdanie. Struwe uznał, że w gospodarstwie nic już nie jest nasze i nie pozwolił ruszyć inwentarza. Podobno na jutro, na godzinę dziewiątą, zamówił wagon towarowy. Chce więc ostatecznie wywieźć mnie z dziećmi koleją.

– Czy dali Wam jakieś pismo w tej sprawie?

– Tak. Z Ortskommandantur – podała dokument.

Przeczytał i zwrócił paperek.

– To nie jest pismo wysiedleńcze – oświadczył. – To coś w rodzaju przepustki na drogę. Na podstawie takiego czegoś się nie wysiedla. I to też powiedźcie Struwemu.

Pocieszona, ile tylko miała sił w nogach, kręciła pedałami roweru w stronę domu. Prawie jedenastokilometrowa droga z Wąbrzeźna do Pływaczewa wydała się jej jakby krótsza od tej, jaką jechała rano, choć była to przecież ta sama droga. Przebrała zmoczone od deszczu rzeczy na suche i poszła zaraz do Struwego. Ten okazał jej dopiero prawdziwe swoje oblicze.

– Ty przekłeta babo – wrzasnął, gdy opowiedziała jemu wszystko o czym mówił starosta. – Kto cię tam wpuścił? Kto kazał ci tam jechać? Ona myśli, że jeszcze jest Polska... Idź natychmiast do Piecka i powtórz to wszystko jemu. On ci dopiero da w skórę. A niech cię diabli... Wynoś się, precz z moich oczu!

Piecka spotkała w drodze. Właśnie zmierzał do wsi. Zabrał mamusię z powrotem do Struwego. Obaj wytrząsali się teraz i pienili jak wściekłe wilki. Wprost nie sposób powtórzyć tych ordynarnych wywisk, jakimi obrzucili mamusię.

– Wszystko było tak dobrze zaplanowane i tu masz, baba zepsuła całe szyki...

– Pójdiesz jeszcze z tym do Borrmanna – orzekli na koniec. On zatwierdzał twoją sprawę. Wie też, że na jutro zamówiony jest wagon. Sama zawiadom go o tym, że jego decyzje nic nie znaczą. Kto wie, czy jeszcze żywa od niego wrócisz?

Wstąpiła do domu po rower i z bijącym sercem pojechała następne pięć kilometrów do Kowalewa. Nie zastała Borrmanna. Był w Wąbrzeźnie w gestapo. Jakże odetchnęła z ulgą, że nie staje przed nim oko w oko. Niepodobna wyobrazić sobie, co ten kat, polakożercą zwany – teraz by z nią zrobił... Zamiast jemu powiedziała jego sekretarce o swojej wizycie u starosty. Sekretarka natychmiast zamówiła rozmowę telefoniczną do Wąbrzeźna. Słowo w słowo wszystko, co mamusia mówiła, powtórzyła Borrmannowi przez telefon. Mamusia dosłyszała tylko, jak darł się do mikrofonu – „To wprost niemożliwe... Naprawdę ona była u starosty? To już przekracza moje siły... Niech ją piekło pochłonie.”

Piekło jednak nie pochłonęło naszej mamusi. Wróciła z Kowalewa do domu cała i żywa. Tylko piekielnie trudny do przeżycia okazał się jeszcze następny dzień. Na godzinę dziewiątą był przecież zamówiony wagon. Nocą prawie nie spała.

Niezupełnie pewna tego, czy czasem – mimo słów starosty – nie pojawią się rano jej prześladowcy z utrzymanym w mocy nakazem wysiedleńczym, wstała przed świtem i już o piątej rano udała się do Ostrowitego. U bliskich krewnych szukała pocieszenia i otuchy do przetrwania tego sądnego dnia. Wcześniej pouczyła nas, że gdyby Niemcy przyszli i próbowali wyrzucić z domu, to powinniśmy narobić takiego krzyku i lamentu na całą wieś, żeby zbiegli się ludzie nam na ratunek. W ostatecznym razie mamy rozbiec się w różne strony, uciekać i nie dać się schwytać. Z umówionych miejsc mamusia pozierałaby nas potem znów w gromadkę.

Po całonocnej rozterce ducha zdecydowała się pozostawić nas samych przez kilka godzin w domu, kierując się bezgraniczną ufnością, że los nie może być aż tak okrutny, by ktokolwiek ośmielił się w nieobecności matki wyrzucić sześcioro dzieci pod gołe niebo. Wierzyła też, że nikt nie potępi jej za taki, na jaki właśnie zdecydowała się, sposób ratowania nas w nieszczęściu. Tak postąpiła, bo tak wtedy dyktowało jej matczyne serce.

Czekaliśmy w napięciu i trwodze. Powoli mijała godzina dziewiąta... Nie przyszli. Najwidoczniej czuli respekt przed starostą. Kiedy zegar wybił już godzinę dziewiątą minut trzydzieści, mamusia była znów wspólnie z nami szczęśliwa. Kolejne grożące nam niebezpieczeństwo, tym razem ominęło dom.

Po latach opowiedziała mi wszystko, co tu napisałem. Mówiła z trudem i wielkim wzruszeniem. Łzy napływały jej do oczu, zwilżały policzki i lśniąco srebrzyły zmarszczki na twarzy.

– Wierz mi, synu – wolno dobywała słowa z głębi piersi zaatakowanej już przez raka... – żadne inne ciernie na drodze mojego życia nie rozkrwały mnie serca tak okrutnie... i bezlitośnie... jak tamte godziny czekania... One zdawały się być wieczne... Co ja wtedy przeżyłam, synu, brak słów, żeby to opowiedzieć... Dziś już nie wiem, skąd czerpałam siłę, żeby... żeby tamto przeżyć...

Wilk w owczej skórce

Po niedosłej do skutku próbie wysiedlenia nas do Kielc nadchodząca zima przyniosła nam trochę spokoju. Dnia 26 listopada 1939 roku Selbstschutz na Pomorzu został rozwiązany. Struwe utracił szereg nieograniczonych kompetencji, jakie przysługiwały jemu z racji członkostwa w tej faszystowskiej organizacji. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że w stosunku do nas zaniechał on dalszych knowań. Z początkiem 1940 roku znalazł dogodną sposobność do podjęcia jeszcze jednej próby wyrzucenia nas z ojcowizny. Wśród Polaków, którzy nie chcieli, albo którym odmówiono nadania niemieckiego obywatelstwa, władze miejscowe organizowały akcje deportacyjne do Rzeszy na przymusowe roboty. Struwe sporządził właśnie listę, osób z podległego jemu sołectwa i w pierwszej kolejności umieścił na niej nas. W ustalonym odgórnie dniu kazał nam zająć miejsce na wozie przygotowanym do drogi i dołączyć do kilku innych furmanek, zapełnionych po brzegi wysiedleńcami. Jechaliśmy do Kowalewa, gdzie specjalna komisja miała zadecydować, kto nadaje się a kto nie – „na roboty do Rzeszy”.

Po drodze ludzie opowiadali, że niejaka pani Rysiewska, jadąca również w kolumnie wozów z drobiazgiem małych – jak my – dzieci, sprawiła niemało kłopotu tym, co przyszli po nią. Z siekierą stanęła w progu domu i poważnie zagroziła, że każdemu Szwabowi, który odważy się wtargnąć pod jej dach, rozrąbie głowę na kawałki... Podobno ciężką mieli z nią przeprawę i dopiero przy użyciu podstępu załadowali z rodziną na wóz. Jeszcze z wozu, gdy tylko któryś z oprawców znalazł się w zasięgu jej rąk, waliła go z rozmachem aż czapka leciała z głowy. Co sił w piersiach krzyczała odważnie:

– Przyjdzie jeszcze czas, że za naszą krzywdę odpłacimy wam podwójnie, barbarzyńcy! Nie ciescie się zbytnio. Los kołem się toczy... I na was przyjdzie pora...

Konwój wozów zatrzymał się w Kowalewie. Członkowie komisji byli wyraźnie podenerwowani. W ich ocenie masowo zwiezione rodziny, nie wyłączając starców i dzieci, nie przedstawiały pożądanej wartości siły roboczej dla Rzeszy. Odrzucali niemal wszystkich.

Kiedy przed ich obliczem stanęła mamusia z sześciorgiem nas dzieci, z których najmłodsze tuliła w ramionach, a reszta trzymała się jak po sznurku za ręce, przewodniczący komisji parsknął na cały głos śmiechem.

– Kto was tu skierował? – zapytał, siłąc się na powagę. Bez czekania na odpowiedź dodał: – I to mają być robotnicy do niemieckich fabryk? Kobieta i – palcem wskazującym prawej ręki pomógł sobie przy liczeniu – „ein, zwei, drei, vier, funf, sechs” – i sześć małych dzieci... Do żarcia to i srania – wybuchnął nerwowo – a nie do roboty!

Rozśmieszył tym pozostałych siedzących za stołem i po chwili, widząc wylęknione na dziecięcych naszych twarzyczkach oczy, łagodniejszym już tonem rozkazał:

– „Zurück”. Z powrotem do domu. Musicie jeszcze trochę podrosnąć...

Z promiennego uśmiechu mamusi odczytaliśmy w mig, że wszystko zostało załatwione pomyślnie. Tylko Struwe miał kwaśną minę. Stał on za plecami komisji z dala, ale w takiej odległości, że słyszał wszystkie słowa, jakimś niedwuznacznie nas oceniono. Aż nadto dobrze musiał zrozumieć wszystko, bo nagle, jakby czym rażony, wycofał się ukradkiem za ludzi. Zjawił się dopiero, kiedy siedzieliśmy już na wozie i czekaliśmy na pozwolenie odjazdu w drogę powrotną do domu. Uśmiechnął się wymuszenie i unikając wzroku mamusi, powiedział:

– Dzieci są pewnie głodne. Niech to zjedzą – podał nam w papierowej torebce kilka bułek i parówek.

Byliśmy naprawdę głodni, nie odmówiliśmy więc przyjęcia poczęstunku. Bogdan pierwszy wyciągnął z torebki parówkę, skonsumował kawałek i nawet pochwalił:

– Ale dobra.

Podobało się to Szwabowi, który kłamliwie zaraz dopowiedział:

– Wstawiłem się za wami przed komisją. Prosiłem ich, żeby cofnęli was do domu. Usłuchali mnie, wracajcie.

Konie ruszyły w kierunku Pływaczewa. Kiedy już minęliśmy zakręt i Struwe pozostał za polem naszego widzenia, mamusia w smutnej zadumie wyszeptała półgłosem:

– Nie jedzcie tych bułek są judaszowskie.

Odjęliśmy od ust kielbasę i nadgryzione pieczywo. Straciły dla nas swój naturalny smak. Mamusia zebrała je i zawięła w papier...

Napisane na bieżąco

Leszek, najstarszy z nas sześciorga, miał dziesięć lat, kiedy zaczął pisać pamiętniki. Z zachowanego rękopisu podaje tylko niektóre fragmenty jego wspomnień. Oto ich treść:

„... W ten sam dzień, jak tatuś wrócił z Warszawy, niemiecki sołtys zabrał nam gospodarstwo. Ten pan nazywa się Sztruwa. Teraz przychodzi tu co dzień rano i wydaje śrut dla koni. Klucze od naszego spiksza (spichlerza) nosi przy sobie. Jeśli potrzebujemy ziarna dla kur, to musimy zawsze go prosić.

... W lutym 1940 roku chcieliśmy zabić barana, to tyle tych wniosków i w końcu Sztruwa się zgodził i baran został zabity...

Kilka razy Sztruwa wyrzucał nas z gospodarstwa. Chciał się nas pozbyć do Kielc, w dalekie strony za Warszawę. Ale mamusia była u starosty i nas nie wyrzucili...

29 lutego 1940 roku na dworzec do Zielenia przyjechał pociąg z węglem. Sztruwa dostał cały wagon. Jeden wóz kazał przywieźć na nasze podwórze. Węgiel dostali: Gajewski, Czarnecki, Kowalski i Przybyszewski. Oni sypali w duże kosze a Sztruwa stał przy wadze i rozdawał według listy. Nam przydzielił trzy cetnary. To było mało, ale dobre i to...

1 marca 1940 roku z rana był taki mróz, aż w uszy szczypało. Wyszliśmy na podwórze dopiero o godzinie wpół dziesiątej, kiedy było więcej słońca. O pierwszej mamusia zawołała nas na obiad. W obiad było tak ciepło, że wszystko stopniało. A na noc przyszedł gorszy mróz.

Rano, to było 2 marca, padał śnieg. Fornale Kowalski i Wacek od Madejewskich wożą dziś gnój na pole. Pan Sztruwa kupił do gospodarstwa nowy parnik. Mówił, że zapłacił 100 marek. Teraz kartofle dla świń paruje pan Czapkowski. On był za polskich czasów nauczycielem w szkole. Sztruwa przydzielił go teraz do filtrowania (karmienia) świń. Dziś pan Czapkowski pojechał do Wąbrzeźna. Za niego mamusia musi uparować kartofle i dać świniom. Jak jest ciepło to my pilnujemy ognia pod parnikiem, a mamusia przychodzi potem, wyrzuca je do dużego koryta i miesza ze śrutem. Pomagamy mamusi nosić wiadra do świń. Nieraz w śniegu poślizgnie się noga i przewracamy się z całym kubłem... Przed wojną nie musieliśmy tak ciężko pracować...

Mamusia ma podwójnie ciężko, bo jeszcze w domu wszystko robi sama. Regina, co opiekowała się nami, teraz zachorowała. Przez tydzień była w szpitalu w Wąbrzeźnie. Ze szpitala przywieźli ją do Przybyszewskich. Jest tam już cztery dni...

W domu jest zimno. Zima ostra więc oszczędzamy węgiel i palimy tylko w jednym piecu pruchnym od torfu... Niedziela. Od rana pada śnieg i jest taka zawierucha, że nie było widać świata. Dziś nie poszliśmy na podwórze. Parnik uparował Czapkowski. Sztruwa pozwolił i mamusia pojechała sankami w dwa konie do Ostrowskiego. Zawiozła naszej babci trochę węgla, mąki i jedną gułę (indyczkę). Opiekować się nami przysła Florkiewiczowa. Od rana padał śnieg, a pod obiad było troszkę cieplej. O godzinie pierwszej zjedliśmy obiad, szable (fasolę) ze śmietaną. Za 10 minut druga przychodzą robotnicy...

Dziś, to jest w czwartek 7 marca, pompa nam zamarzała i po wodę musimy jeździć na torfniaki (tj. na łąki torfowe) aż pod Kowalewo. Po obiedzie gotowaliśmy syrop na chleb z buraków cukrowych. Cukrowe skrobaliśmy już wczoraj i pod wieczór wyciskaliśmy z ugotowanych buraków syrop. Po nas gotuje buraki Przybyszewski, jutro Florkiewiczowa, a w sobotę Gajewski...

W sobotę Czarnecki pojechał do Kowalewa po super do zboża czy tam po coś... Woda z torfniaków przywieziona.

Niedziela – 10 marca 1940 roku. W nocy był straszny wiatr i tak aż do wpół do pierwszej (trzynastej). Więc siedzimy w domu. Na drugą niedzielę Bogdan ma urodziny. Skończy 9 lat.

W poniedziałek przez cały dzień latały w powietrzu aeroplany aż wszystko trzęsło się naokoło. Trzy leciały tak niziutko, że jeden wnet zawadził o nas komin nad pralnią. Podobno była jakaś zaczepka na morzu. Pan Sztruwa powiedział dziś mamusi, że wojna z Ruskiem już skończona...

W czwartek 14 marca koło południa przysła Zośka od Maternów z zawiadomieniem, że na dworcu w Zieleniu jest dla nas z cukrowni pół cetnara cukru za buraki. Cukier przyszedł w wagonie pocztowym o godzinie dziewiątej. Z dworca przywiózł nam go do domu chłopak od Minetta. Zośka powiedziała mamusi, że Ameryka groziła Niemcom – jeżeli nie usuną się z Pomorza do 18, to Ameryka wyśle swoje wojska na Pomorze...

Piątek – 15 marca 1940 roku. Dziś zaczęliśmy chodzić do szkoły, to jest Bogdan, Janusz i ja. Nauczyciel mówił najpierw coś po niemiecku, czego nikt nie rozumiał. Potem trochę tłumaczył po polsku. Powiedział, że małe dzieci pójdą do szkoły dopiero w poniedziałek, 1 kwietnia.

W sobotę nauczyciel uczył nas, jak nazywają się po niemiecku dni tygodnia i miesiące. Na poniedziałek kazał przynieść zeszyt rachunkowy, w linie, piórko i obsadkę.

Poniedziałek. W zeszytce od polskiego musimy pisać po niemiecku, jak kto się nazywa, kiedy i gdzie się urodził. Jadziucha od Florkiewiczów odpisała z tablicy niedobrze, to nauczyciel skrzył jej ucho tak mocno aż krew leciała. Nauczyciel nazywa się Adolf Merzinger. Gdy śwędzą go plecy w klasie, to trze się o piec albo wsadza sobie za kołnierz kij od pokazywania na tablicy i kijem tym drapie po plecach. Jak wraca z ustępu, to spodnie zapina sobie dopiero w klasie. Nie lubimy go, bo bardzo bije...

Na środę jeden chłopak nie nauczył się liczyć do trzydziestu. Mówił, że zapomniał. Nauczyciel powiedział: Vergessen heisst Rücken messen i zdzielił go kijem przez plecy. Potem jeszcze wziął chłopaka na środek klasy, kazał mu wyciągnąć rękę i cienką witką bił aż chłopakowi palce spuchły...

Dziś puścił nas wcześniej, bo zaczynały się wakacje wielkanocne. Dużo nam zadał na wakacje. Mówił, że niedługo nie będzie już wolno nikomu mówić po polsku, tylko po niemiecku...

Dziś jest Wielki Piątek – 22 marca 1940 roku. Mamusia ugnoiła dwa bochenki ciasta i napięła dużo ciastek, a w Wielką Sobotę placek...

Przed świętami jechał taki pociąg, co miał na przodku wieniec i dwie chorągiewki. Ten pociąg szedł po tej umowie, co Rosja z Finlandią się pogodziła i potem miała pogodzić się Anglia z Niemcami. I widać źle się pogodzili. Widać było, że źle, bo pociąg wiozł działa i wojsko pod Toruń, 92 wagony. A węgiel, 100 wagonów, wozili na Prusy Wschodnie...

Dziś niedziela, tydzień po świętach. Więc jutro w poniedziałek, 1 kwietnia, na godzinę jedenastą pójdzie pierwszy raz do szkoły Heniuch..."

Pod osłoną nocy

Minęło 31 smutnych miesięcy okupacji. Dobiegało końca przedwiośnie 1942 roku. Noce były jeszcze ciemne i mroźne takie, jakie bywają w okresie przedłużającej się zimy. Dla okupowanej ludności cywilnej w Polsce chłodna czerń tych nocy okrywała ponurym kirem tysiące bolesnych wydarzeń. Ludzie układali się z wieczora do snu i nie wiedzieli, czy świat zastaną w progach swych domów. Nocom towarzyszył strach w związku z niepewnością jutra. Najgorsze przychodziło bowiem często pod osłoną nocy. I właśnie w nocy z 2 na 3 kwietnia 1942 roku spotkało to także nas – sześcioro dzieci i matkę.

Około godziny dwudziestej, jak co wieczór, mamusia przygotowała nam staranne w łóżkach posłanie. Nie przeczuwając niczego złego, położyliśmy się spać. W miękkiej, z gęsiego puchu usypanej pościeli i dobrze nagrzanego (od dużego pieca kaflowego) sypialni, szybko zmorzył wszystkich błogi sen. Z tego pierwszego snu zbudziło nas hałaśliwe dobijanie się do drzwi domu. Ktoś uporczywie szarpał klamką i walił w drzwi ciężkimi butami. W podwórzku rozlegało się głośne ujadanie psów. Wraz z przerwany snem w sercach obudziła się trwoga. Najmłodszy, czteroletni Romek, zaczął płakać w półśnie. Mamusia zapaliła w pokoju lampę naftową. Duży, stojący pod ścianą zegar tykał miarowo i wskazywał godzinę 0.50.

Po ucieszeniu Romka mamusia, oświetlając sobie drogę lampą, udała się w kierunku drzwi frontowych. Z drugiej ich strony rozlegał się złowrogi głos Struwego, głos rozkazujący otworzyć drzwi. Mamusia z lękiem zwinęła zasuwę i haki, na jakie drzwi były zamknięte od wewnątrz. Do mieszkania wszedł Struwe w towarzystwie uzbrojonego żandarma. Ten ostatni na lewym rękawie wojskowego munduru miał naszyte czarne kółeczko z napisem „Berlin”. On pierwszy odezwał się do mamusi:

– „Sie müssen raus”.

Mamusia przeleżała się tych słów. Zrozumiała w pełni ich treść. Zapytała z niepokojem:

– Czy koniecznie teraz, w nocy?

Odpowiedź brzmiała krótko:

– Tak.

Ze łzami w oczach tłumaczyła, że ma sześcioro małych dzieci. Dopiero co posnęły, więc żał wyciągać je z łóżek... Żandarm zawahał się przez moment. Struwe zareagował na to słowami faryzejskiego pocieszenia: Nie stanie się dzieciom żadna krzywda. Trzeba tylko ciepło je ubrać. Na miejscu wyśpią się do woli.

– Na jakim miejscu? – zapytała mamusia.

– W lagrze – powiedział otwarcie żandarm. – Jedzicie do lagru.

– O Boże, Boże... – wykrztusiła z przerażeniem i przez chwilę stała oszołomiona...

Struwe i żandarm przeszli z korytarza do kuchni, a mamusia udała się najpierw do pokoju Reginy, naszej w domu opiekunki. Zbudziła ją i kazała pomóc w pakowaniu się. Zabrać wolno było rzeczy osobiste, także jedzenie na drogę i pościel. W sumie rzeczy tyle, ile dało się ich zmieścić i udźwignąć w bagażu ręcznym.

Trzy ostatnie godziny w domu

W domu powstał niesamowity zgiełk. Romek znów się rozbeczał, inni głośno marudzili, przecierając zaspane oczy. Zupełnie nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, co dla nas, dzieci, znaczy ta nagła nocna

pobudka, ubieranie się i pakowanie. Wyjaśnienia mamusi, że musimy wyjeżdżać tej nocy, przez dłuższy czas nie docierały do naszej dziecięcej świadomości.

Na polecenie mamusi Regina przyrządziła dla wszystkich gorący posiłek. Przed jedzeniem żołnierz kazał nam stanąć w szeregu, dokładnie wszystkich policzył i kolejno zapisał w drukowanym formularzu. W czasie protokołowania danych personalnych mamusia zapytała żołnierza – czy 6-letnia Rita, jedyna dziewczynka, ze względu na jej wątły organizm i słaby stan zdrowia, mogłaby zostać u cioci, mamusi siostry, prowadzącej gospodarstwo domowe miejscowemu kierownikowi szkoły? – Żołnierz popatrzył na Ritę i kiwnął głową na znak zgody, ale w tym samym niemal momencie Struwe wrzasnął:

– Nein. Ona musi jechać razem z rodziną! – Potem oświadczył, że na spakowanie się mamy czas tylko do godziny czwartej rano i wyszedł z domu. Wychodząc, zamienił jeszcze z żołnierzem kilka słów na uboczu i pozostawił go na straży.

Żandarm w naszym już tylko towarzystwie poczuł się swobodniej. Tonem już nie służbowym nawet usprawiedliwiał się i to nocne najście tłumaczył „musem” wykonania rozkazu.

– Gdybym wiedział, że macie takie małe dzieci – mówił – przyszedłbym tu wcześniej bez Struwego, kazałbym wam uciekać gdzie bądź, do krewnych czy znajomych i doniosłbym panu Struwe, że nikogo w domu nie zastałem. Uniknęlibyście lagru... Szkoda... Teraz sam już nic zrobić nie mogę.

Nietrudno było zauważyć, że współczuł nam. W nieszczęściu, jakie nieoczekiwanie spadło na naszą rodzinę tej nocy, znaczyło to wiele. Budziło wiarę, że i pod mundurem wroga trafia się ludzkie serce.

Wszystko, co zamierzaliśmy zabrać z sobą, układaliśmy na podłodze. Z tego mamusia z Reginą wybierały rzeczy na co dzień najpotrzebniejsze i pakowały je do walizek bądź w tobołki. Struwe przychodził co jakiś czas dla sprawdzenia, czy rzeczywiście pakujemy bagaże. W końcu upewniony, że w wyznaczonych godzinach zdążyliśmy przygotować się do drogi, poszedł i zbudził we wsi jednego robotnika, któremu rozkazał zaprzęgać konie. Punktualnie o godzinie czwartej w nocy duży wóz dwukonny, wyścielony słomą, zajechał przed dom. Ładowanie spakowanych rzeczy nie zajęło już dużo czasu.

Mamusia ubrała każdemu z nas w drogę po trzy ubranka, jedno na drugie, żeby jak najwięcej odzieży zabrać z sobą. Ledwie poruszaliśmy się w tym wszystkim. Dodatkowo ja i starsi moi trzej bracia, Leszek, Bogdan i Janusz, w tornistrach szkolnych na plecach mieliśmy – zamiast książek i zeszytów – różne drobne przybory, kanapki śniadaniowe, mleko i gorącą herbatę w butelkach.

Na wozie zapadliśmy się głęboko w miękkie pierzyny. Ciemności nocy skłaniały do snu. To spanie nie było jednak takie, jak w łózkach...

Padął drobny, mokry śnieg. Pierzyny od wierzchu i wystające spod nich nasze głowy mamusia okryła troskliwie kocami, pozostawiając tylko wąskie szparki do oddechu. Na koniec, obok mamusi i furmana, usiadł konwojujący nas żandarm. Bez słowa dał znak ręką, rozległ się trzask bicia i zgrzyt kół. Wóz śladem koni potoczył się w chłodną noc kwietniową. W ciemnościach tej nocy ponurej – coraz dalej w tyle za nami pozostawał dom rodzinny i wszystko, co było skarbem naszego wczesnego dzieciństwa... Gorzki płacz tęsknoty i żal przyszedł dopiero potem... w lagrze...

Część druga. Za bramą lagrową w Toruniu

W drodze do lagru

Pierwszym etapem naszej drogi do lagru było pobliskie miasteczko Kowalewo Pomorskie. Pięciokilometrowa jazdę w ciemnościach nocy przespaliśmy. Na dworze zaczęło rozwidniać się, gdy wjeżdżaliśmy w ulicę przedmieścia. Mimo donośnego stukotu żelaznych obręczy kół o bruk ulicy, spaliliśmy twardo i mamusia miała sporo kłopotu z budzeniem i wyciąganiem nas z ciepłego legowiska. Głęboki, dziecięcy sen, dwukrotnie przerywany tej nocy, kleił powieki i z wielkim trudem dawał się przewyciężyć.

W Kowalewie musieliśmy zabrać z wozu nasze rzeczy i przenieść do dużej sali po przeciwnej stronie mleczarni (późniejsza sala kinowa). W sali znajdowało się już kilka rodzin i wciąż dowożono ich więcej. W sali unosił się nieprzyjemny zaduch. Dym z papierosów i fajek mieszał się z zapachem moczu dzieci i starców, siusiających w potrzebie po kątach.

Nastrój wyczekiwania uprzykrzał się i zmieniał od pogodnego aż po nutę smutku i zwątpienia. Tu i ówdzie chlpało w półśnie małe dziecko, jakaś babcia szeptała słowa modlitwy, ktoś inny przeklinał hitlerowców. Wielu pocieszało się rychłym powrotem w swoje domostwa, wychodząc z założenia, że i najgorsze zło kiedyś skończyć się musi. Jeden chłopak zaczął grać na organkach. Z twarzą pilnujących nas Niemców można było wyczytać, że drażniło ich to granie, raz wesołe i skoczne, to znów melancholijne. Ale nie zabronili chłopakowi. Zanim świt zupełnie rozjaśnił niebo, od dworu rozległ się warkot silników samochodowych. Przed budynek zajechały dwa wojskowe autobusy i samochód ciężarowy. Na ciężarówkę załadowano nasze pakunki, walizki i toboły z pościelą. Potem umieszczono nas w jednym

autobusie, a do drugiego wsiedli esesmani i żandarmi i pojazdy ruszyły w stronę Wąbrzeźna, szosą przez Lipnicę.

W Wąbrzeźnie wysadzono nas przy głównym dworcu kolejowym i przyłączono do oczekujących już tu innych naszych rodaków, przeważnie rolników wysiedlonych z okolicznych wiosek. Wśród pilnujących nas Niemców byli zielono umundurowani żandarmi i kilku ubranych na czarno esesmanów. Wszyscy oni czujnie nas obserwowali, uważając, żeby czasem kto nie uciekł.

Niebawem rozległ się donośny gwizd lokomotywy parowej i przed dworcem zatrzymał się pociąg osobowo-towarowy. Przyjechali nim niemieccy koloniści, całe rodziny Niemców besarabskich, którym niemieckie władze okupacyjne przydzielać będą nasze gospodarstwa. Kobiety miały na głowach duże, wiązane chusty, jak cyganki; mężczyźni zaś widokiem swym niewiele różnili się od tutejszych niemieckich „bambrów”. Dostaną oni teraz nasze domy i wiejskie zagrody, przywłaszczają sobie nasze mienie i będą zniemczać wszystko, co na tych pomorskich ziemiach od prawników słowiańskie i z pradziada polskie. Przyjechali tu, jak panowie w wagonach osobowych, a kiedy już wysiedli – ze składu pociągu odłączono wagony osobowe i do pozostałych wagonów towarowych, które w zasadzie przeznaczone były do przewozu bydła, załadowano nas. Potem zgrzytnęły za nami zasuw drzwiove i pociąg ruszył w kierunku Torunia.

Jechaliśmy torami wiodącymi tuż obok naszego gospodarstwa. Przez okratowane okienko można było raz jeszcze zobaczyć rodzinną zagrodę. My, dzieci, byliśmy zbyt mali, ażeby dosięgnąć tego okienka. Tylko mamusia z najmłodszym, pięcioletnim Romkiem na rękę, wyjrzała przez chwilę, a kiedy znów usiadła przy nas, skulonych na pierzynie obowiązanej kocem, miała oczy wilgotne...

W wagonie było zimno i brudno. Ludzie pokładali się na tobołkach z zabranymi z domów rzeczami, ale nikt już – mimo przerwanej nocy – nie zasypiał. Metalowe odgłosy stalowych kół pociągu drażniły i zagłuszały rozmowy. Niektóre dzieci popłakiwały raz ciszej to znów głośniej. Janusz, starszy o rok ode mnie, pytał:

– Mamusiu! Dlaczego żołnierze zamknęli nas w tym ciemnym wagonie? Przecież ludzie jeżdżą w innych wagonach...

Zamiast odpowiedzi mamusia wyjęła z jednego tornistra kanapki śniadaniowe i częstując nas nimi, mówiła:

– Jedzcie, dzieci. Ta podróż jeszcze pewnie trochę potrwa...

Pociąg raz zwalniał to znów przyspieszał biegu i mijał bez zatrzymywania się kolejne dworce: Kowalewo, Rychnowo, Turzno... Zatrzymał się dopiero na stacji Toruń Mokre. Zegar peronowy wskazywał godzinę jedenastą. Ale tu jeszcze nie pozwolono nikomu wysiąść. Lokomotywa przetoczyła nasze wagony na inny tor i dopiero po około godzinie, w samo południe pociąg z nami ruszył dalej. Jechał teraz bardzo powoli torowiskiem na poboczach ulic miasta. Stojący za nami jakiś mężczyzna, z głową przywartą do zakratowanego okienka wagonu, powiedział:

– To już blisko... Tu w Toruniu jest niedaleko od dworca lager.

Pewnie wiozą nas do tego lagru...

Usiadł. Jego przygnębienie udzieliło się innym. Chwile ciszy mącił jedynie miarowy stukot kół wlokącego się pociągu, stukot bezlitosny, nieodwracalny... Nikt już o nic nie pytał... Czekaliśmy, żeby już wreszcie można było wysiąść...

Ślepy tor przed szmalcówką

Maszynista, prowadzący pociąg torami jakby wplecionymi w ulice miasta, dla bezpieczeństwa przechodniów, gwizdami parowozu dawał co chwilę krótkie sygnały ostrzegawcze. Zwalniał przy tym tak, że koła wagonów gubiły swój stukot miarowy. Z wolna zbliżaliśmy się do końca ślepego toru... Buforowe hamulce zgrzytnęły przeraźliwie i wszystko zatrzymało się w, bezruchu.

Leszek pierwszy wspiął się na walizki i spojrział przez zakratowane okienko.

– Mamusiu! – zawołał. – Widzę bardzo wysoki komin. To fabryka! – Tak, fabryka – przytaknął siedzący za nami starszy mężczyzna i zaraz dodał – przed wojną była to fabryka smalcu. Teraz Niemcy urządzili tu lager dla Polaków. Więźniowie nazywają ten lager Szmalcówką...

– Dlaczego przywieźli nas do fabryki smalcu? – pytam mamusię, ale pytanie moje pozostało bez odpowiedzi. Mamusia uciszała właśnie Romka i Ritę, którym zbierało się na placz. Chcieli z powrotem do domu...

Staruszka z różańcem w rękę wplotła w szept modlitwy słowa: Broń nas Boże przed oprawcami... Odpowietrza, głodu, ognia i wojny... – i bliżej siedzący chórem jej wtórowali – Zachowaj nas, Panie...

Z drugiego końca wagonu ktoś, wypatrując na zewnątrz trwożnie konstatawał:

– W ślepy tor nas skierowali. To bez wątpienia bocznica lagrowa. Już widać esesmanów z kabinami. To początek naszego końca. Jesteśmy zgubieni...

– Dlaczego Bóg milczy teraz, gdy nieszczęście zagląda nam w oczy?... – biadolily kobiety. – Dlaczego nas nie ratuje?... Dlaczego?...

– Bo pewnie nie ma Boga – wtrącił jakiś waźniak.

- Bluźnierca! Heretyk! – potępiali go najbliżej stojący, a kobiety odwróciły się tyłem do niego.
- To przez takich skaranie boskie!...

Tymczasem na dworze rozlegały się coraz głośniejsze krzyki i tupotania. Towarzyszyły im trzaski zamków i skrzywienie rozsuwanych drzwi. Z łoskotem otwarto drzwi także naszego wagonu. Nareszcie. Ogarnęła nas dziecięca uciecha, że po wyjściu z tej ciemnej klatki będziemy mogli pobiegać sobie i zabawiać się w słońcu. Ale uciechę naszą wnet przytłumiły wrzaski uzbrojonych wachmanów.

– Zabierać wszystko i wysiadać! Schnell! Prędko! Prędko!... – krzyczeli i wyskakujących z wagonu ludzi poganiali szturchańcami kolb karabinowych.

Mamusia w pośpiechu rozdała nam bagaż. Mnie, oprócz tornistra, przypadła do niesienia jeszcze torba z rzeczami.

- Nie poradzę tego – poskarżyłem się głośno.

– Musisz, syneczku – odrzekła mamusia i na pociechę dodała – Zobacz, twoi starsi bracia mają jeszcze ciężej...

Słyszając te słowa ci, co mieli ze sobą mniej pakunków, ulżyli nam trochę. Pomogli również przy zeskakiwaniu z wysokiego stopnia wagonu na ziemię. Peronu tu nie było.

Podczas, gdy jedni żandarmi dokładnie sprawdzali, czy wszyscy opuścili wagon, inni ustawiali nas w grupy i pędzili od razu dalej, w kierunku wielkiej bramy, za którą było już podwórze lagrowe. Za ostatnim więźniem z naszego transportu wachmani zatrzasnęli ciężkie wrota tak, że na ulicę nie było żadnego widoku. Tam, za ogromną i szczelnie zamkniętą bramą, została nasza wolność. Chwili tej do dziś zapomnieć nie mogę. Zwłaszcza ta wielka w oczach dziecka brama utkwiła w mojej świadomości do tego stopnia, że przez wszystkie dalsze lata mego życia – i dziś jeszcze – przerażenie budzi każda podobnej wielkości i szczelności brama, zamykana ze zgrzytem żelaznych zawiasów i trzaskiem żelaznego zamka...

Za bramą łagrową

Na placu obozowym ustawiono wszystkich w jednym szeregu. Bagaże musieliśmy złożyć nieco dalej, w miejscu wskazanym przez wachmanów. Z budynku, w którym mieściły się pomieszczenia kierownictwa lagru, w tym biuro SS, wyszedł mężczyzna w sile wieku, dobrze zbudowany, w asyście jednego cywila i kilku innych, jak on – w czarnych mundurach z trupią czaszką na czapkach. Ten pierwszy był w randze obersturmführera. Stał butnie w szerokim rozkroku i przedstawił się jako komendant lagru. Towarzyszący mu z boku cywil tłumaczył na język polski jego słowa:

– Witam was! Od dziś będziecie pod moimi rozkazami. My, Niemcy, nauczymy was porządku i pracy... Stąd macie tylko dwa wyjścia: do roboty albo do ziemi... Tu teraz jest wasz dom i musicie przestrzegać tego, co tu obowiązuje... Kto nie podporządkuje się rozkazom naszego kierownictwa, poniesie karę. Stawianie jakiegokolwiek oporu jest bezcelowe. Zrozumieliście!?

Zakończywszy mowę komendant przeszedł wolnym krokiem wzdłuż szeregu, mierzył nas wzrokiem z góry i jakby w myślach – liczył. Cały nasz transport podobno miał składać się z ponad 200 osób, a przywieziono „zaledwie” 58. Reszta najwidoczniej zdążyła uciec przed wysiedleniem. Komendant miał wyraźnie złą minę. Od końca szeregu zawrócił prosto w stronę budynku biurowego. Pozostali oprawcy zajęli się nami. Z biurowca wyszło im do pomocy jeszcze kilku wachmanów. Nieśli duże, z dwoma po bokach uchwyty, wiklinowe kosze – takie, jakie u nas w gospodarstwie służyły do przenoszenia buraków oraz kiszonki dla bydła. Tu miały inne przeznaczenie. Postawiono je przed nami i rozpoczęła się drobiazgowa „kontrola osobista”, polegająca na okradzeniu nas ze wszystkiego.

Zabierano uwięzionym wszystko, co mieli wartościowego. Padały więc do wielkich koszy torebki damskie, męskie teczki, portfele, biżuteria ściągana z palców i zrywana z uszu i szyi, wszelkie kosztowności rodzinne, papierośnice, fajki, papierosy, zapalniczki, scyzoryki i różne inne przedmioty. Tak – przez kradzież – bezprawnie bogacili się ci, co przypisywali sobie wyższą kulturę i nas chcieli uczyć porządku...

Po zrabowaniu wszystkich osobistych kosztowności i rzeczy użytecznych żandarmi wpędzili nas do jednego z budynków łagrowych, ale nasze pierzyny, walizki i wszystkie inne większe bagaże rozkazano pozostawić na placu. Esesmani musieli sprawdzić, co jeszcze znajdowało się w naszych bagażach i mogło stanowić dla nich cenny łup... Jeden z żandarmów, zanim wpędzono nas do budynku, mierząc łufą karabinu w naszą stronę, łamaną polszczyzną zagroził:

- Przez okna patrzeć verboten!... Kto wyjrzeć oknem, my zastrzelić... Pif! Paf!

Pomieszczenie w budynku, do którego nas wpędzono, było wielką halą fabryczną, opróżnioną z maszyn i urządzeń produkcyjnych. Te hale fabryczne mają odtąd zastąpić nam dom.

Od długiego stania na placu ścięły nam nogi. Rozglądaliśmy się więc za miejscami do odpoczynku. Oczy jednak daremnie szukały choćby jednego krzesła, nie mówiąc już o łóżku czy kanapie. Cała betonowa przestrzeń podłogowa podzielona była deskami, wyznaczającymi korytarzyki-ganki do chodzenia. Natomiast przegrody do siedzenia i spania zaścielone były, jak dla bydła w oborze, słomą...

Chcieliśmy usiąść na tej słomie, ale mamusia wskazała nam miejsce na deskach. Ktoś obok nas ruszył słomą i z przerażeniem zawołał:

– Ludzie! Tu pełno pcheł... Po rękach skaczą... I pewnie wszy łążą w tej słomie...

Rita wtuliła się mamusi w ramiona.

– Mamusiu, ja się boję! – rozplakała się.

– To obrzydliwe – zawołał Janusz i poderwał się z podłogi. Wszyscy poczuliśmy się nieswojo. Ktoś odważny podczołgał się

bliżej okna i – mimo zakazu – zerknął na plac. Jednak zaraz cofnął się ze słowami:

– Ten żandarm, psiakrew, nie żartował. Lufą karabinu celuje w okno.

Dopiero po około godzinie otworzyli nam drzwi. Kazali szybko wyjść na plac i zabrać „resztę” bagaży. Pożał się Boże, jak te nasze bagaże wyglądały. Splądrowane, porozrywane, pomieszane i zdeptane tak, że nie wiadomo czyje co pozostało... – Schnell! Schnell! – poganił żandarmi z drwiną. – Szybko niech każdy nabiera swoje i z powrotem do bloku!

Z rzeczy nowych, jak pościel, pierzyny, koce, odzież, a także walizki z kielbasą, chlebem i inną żywnością (a wieźli ludzie tego niemało) – wszystko zrabowano. Resztę żandarmi i esesmani stratowali i porozrzucali, jak wściekle psy. Z tego, co zostało, zabieraliśmy w pośpiechu, co kto miał w zasięgu ręki, żeby tylko wnieść choć cokolwiek do budynku. Potem przez kilka dni ludzie rozpoznawali swoje od nie swoich rzeczy i oddawali sobie nawzajem.

W budynku wskazano nam miejsce w hali na piętrze. Doprowadził nas tam mężczyzna, który przedstawił się jako Oberkapo. Z metrówką w ręku wyznaczył kolejno dla każdej rodziny „kwaterę” na podłodze. Odmierzał z dokładnością do centymetra poszczególne odcinki przestrzeni podłogowej o szerokości 40 cm na osobę dorosłą i 30 cm na dziecko. Tak w rzędach jeden obok drugiego dostaliśmy każdy „swoje miejsce” do złożenia resztek swojego bagażu i do spania na nieświeżej słomie, gorzej niż bydłeta w naszej oborze.

Kiedy wszyscy zostali obdzieleni miejscami, jeszcze w obecności Oberkapo wyznaczony został jeden z więźniów do pełnienia funkcji kapo dla całej naszej grupy nowo przybyłych więźniów. Następnie Oberkapo kazał jemu i kilku innym, by poszli razem po prowiant żywnościowy dla całej naszej grupy. Otrzymaliśmy po kawałku czarnego chleba, łyżkę stołową marmolady na osobę, kubek wodnistej kawy i – z racji całodziennych podróży – dodatek specjalny: małą porcję cukru... Wkrótce po posiłku mamusia przygotowała nam, jak mogła najlepiej, pierwsze lagrowe spanie. Poprzedniej nocy prawie nie spaliśmy, a wielogodzinna, niewygodna podróż była uciążliwa. Do tego przykra „ceremonia przywitania” w lagrze – wszystko to razem sprawiło, że byliśmy wprost nieludzko zmęczeni. Ledwie więc ułożyliśmy się przy mamusi w „naszym” legowisku, usnęliśmy twardo.

Tam nie wolno płakać

Nocą, chwilami w półśnie, słyszeliśmy ludzkie jęki, przerywane charczenia i świszczące oddechy... Razem (na piętrze bloku) leżało kilkadziesiąt osób, przeważnie starszankowie, kobiety i dzieci. Także dzieci – sieroty i jak my – półsieroty.

Ledwie nastał świt, zbudziła nas pobudka. Głośno otwierane drzwi (właściwie: wrota) bloku i nawoływania do wstawania zrywały z najgłębszego nawet snu. Kto żyw ubierał się w pośpiechu. Przebudzeni, dopiero teraz poczuliśmy, jak ciężko musieliśmy nocą oddychać. W powietrzu unosiła się odrażająca woń z dużego otwartego kibla, służącego nocą i z rana do załatwiania potrzeb fizjologicznych.

Poranne wstawanie ukazywało w brzasku dnia ogrom ludzkiej nędzy. Przebywający tu od dłuższego już czasu – trupom podobni – przyoblekali swoją chudość w lachmany i przygarbieni smutno patrzyli pod wlokące ich nogi. Niektórzy płakali żałośnie przy zwłokach kogoś bliskiego, co rana nie dożył... Widoki były przygnębiające i zwłaszcza nam, dzieciom, jeszcze nie przywykłym do codzienności lagrowej, lzy same napływały do oczu, a łkanie zapierało oddech w piersi. Szczęście, że mamusia była z nami. Tuliła nas do siebie, uspokajała:

– Nie płaczcie. Póki jestem z wami, nic złego wam nie zagraża.

Wkrótce zrozumieliśmy, że tu nie wolno płakać, bo płacz drażnił esesmanów i zamiast litości, wywalał w nich wściekłość.

Po zasłaniu barlogu wszyscy musieli stanąć rzędem, każdy przy swojej „kwaterze”. Sanitariusz (z towarzyszącą mu pielęgniarką) miał zawsze rano obchód. Spisywał dane personalne chorych oraz zmarłych w nocy. Po tym obchodzie zjawiał się często w drzwiach na parterze bloku wysoki, z kwaśną miną, esesman nazwiskiem Dohbert. Opowiadano o nim, że przewyższa pozostałych esesmanów nie tylko wzrostem, ale także okrucieństwem w znęcaniu się nad więźniami.

– Ilu tam zmarło? – zaszwargotał do sanitariusza, gdy ten schodził z piętra na parter bloku.

– Tej nocy trzech – odpowiedział sanitariusz.

– Do diabła! – wrzasnął esesman wściekle. – Dlaczego tak mało? Przeklęte polskie świnię... Powinno ich zdychać więcej... – Z miną niezadowolenia udawał się potem za sanitariuszem do następnego budynku-bloku.

Nas przywieziono do lagru na samą Wielkanoc. Przez święta mieliśmy więc trochę wolnego czasu na rozmowy z współwięźniami o warunkach lagrowej rzeczywistości, w jakiej teraz będziemy zmuszeni żyć. Wszyscy też składali sobie wzajemnie – ze łzami w oczach – świąteczne życzenia. Często powtarzało się życzenie przetrwania lagrowego koszmaru i powrotu na wolność.

Nam, dzieciom, było szczególnie smutno. W domu rodzinnym zawsze w tym czasie z wielkim przejęciem budowaliśmy w ogrodzie gniazda wyścielane sianem i oczekiwaliśmy radosnego poranka świątecznego, kiedy to znajdowaliśmy – każdy w swoim gniazdku – kolorowe jajo wielkanocne, słodycze i różne prezenty. Wierzyliśmy, że nocą wszystko to przynosił zając, który najlepsze prezenty dawał zawsze tym, co byli najgrzeczniejsi... Teraz, do ogrodzonego murem i drutem kolczastym obozu, zając nie miał dostępu...

Robactwo, brud i głód

Każdorazowo po wizycie sanitariusza i esesmana szliśmy jeden za drugim do mycia się. Umywalnia znajdowała się na placu (po przeciwległej stronie naszego bloku), tuż przy ogrodzeniu, za którym wydzielona była część lagru dla chorych zakaźnie. Umywalnia była prymitywna, a całe jej urządzenie stanowiły długie, betonowe koryta, napełniane zimną wodą, podobne do koryt, jakie znajdowały się u nas w oborze – do karmienia krów. Tu, w umywalni lagrowej, wszyscy uwięzieni nie tylko się myli, ale także prali swoją odzież w zimnej wodzie bez mydła i proszku... Żadna wesz nie wytepiła się w takim praniu. Po wyschnięciu rzeczy robactwo wylazło znów na wierzch z każdego niemal szwu. Tu musieliśmy nauczyć się, że najskuteczniejszym sposobem likwidacji zwłaszcza wszy było ich wyłapywanie palcami i rozgniatanie paznokciem na paznokciu lub na innym twardym podłożu... Obrzydliwość aż mdliła...

W dziecięcej pamięci utkwiły też inne obrzydliwości lagrowe. Którejś nocy Rita zsunęła się z posłania i usnęła przywarta gołym ramieniem do deski. W szczelinach desek gnieździły się pluskwy, które nocą wylazły na swą ucztę. Wzerały się w ludzkie ciało i sęczyły głęboko. Rita, po rannym przebudzeniu, miała od tego obrzydliwego robactwa całe jedno ramię podziurawione aż do krwi...

Codziennie z rana w pomieszczeniach, gdzie spaliśmy, trzeba było pospiesznie wszystko uporzędkować. Mężczyźni wynosili ciężkie kible i ich zawartość wylewali do ustępów. Podobnie, jak miejsce do mycia, również ustępy prymitywem swym urągały wszelkiej higienie. Mieściły się w wąskim, podłużnym szałasie, po lewej stronie w pobliżu wejścia do naszego bloku. Zamiast sedesów były tu deski z dziurami i zwykle drażki, których – przy przysiadzie – trzeba było trzymać się mocno, żeby nie stracić równowagi i nie wpaść w fekalia...

Wszystkich, co nocą poważnie zachorowali, rano wywożono w drewnianym wózku do lagrowego „szpitala” przy Goethestrasse. Tam opiekował się chorymi doktor Dembski, rodem z naszych stron. Na jego twarzy często rysowała się rozpacz wobec częstej – z braku lekarstw – niemocy w leczeniu chorych. Lekarzowi nie wolno też było wpisywać do kartoteki chorych, póki nie stwierdził, że więzień ma gorączkę sięgającą 40 stopni... Każdy z niższą temperaturą musiał stawać w komandzie roboczym jako „zdolny do pracy”...

Tych, co nocą zmarli w blokach, ich żywi współwięźniowie wynosili rano do trupiarni mieszczącej się tuż przy naszym bloku, obok ciemnego lochu, który był bunkrem karnym. Trupy wywożono potem w drewnianej skrzyni na wózku ciągniętym przez więźniów – za bramę lagru i zakopywano w lesie, za miastem.

* * *

Codziennie około godziny szóstej jedliśmy śniadanie. Kubek czarnej kawy i kawałek chleba z łyżką marmolady. Kawa do picia podawana była rano i potem jeszcze raz wieczorem. Dwukilowy bochenek chleba przypadał na czterech więźniów, po pół kilograma dla każdego na cały dzień. Chleb był gorzki, niesmaczny. Ludzie mówili, że dla więźniów lagrowych wypiekał go jeden piekarz, który – żeby zaoszczędzić mąki – dodawał do niej mączki kasztanowej i nie wiadomo czego jeszcze.

Obiady gotowano w kuchni lagrowej takie, od których wykrzywiało nam usta. Często była wodnista zupa z brukwi na wpół zgnilej, kartoflanka z kawałkami starego mięsa końskiego, podobno nawet od konia padłego... W koło to samo, bez nadziei na coś lepszego. Tylko raz w roku – w dniu urodzin „fuhrera”, to jest Adolfa Hitlera – kasza była tak gęsta, że było co w łyżkę nabrać. I porcje były większe niż zwykle. Potem znów zupy, które niekiedy miały śmierdzący zapach... Każdemu nalewano tego do jego miseczki miarą półlitrową, a biedni więźniowie wystawali za tym w kolejce, żeby choć trochę zaspokoić dokuczliwy głód. Niejednemu w oczach się ćmiło i niejedni zataczał się w osłabieniu nie tylko

z głodu, ale i po spożyciu obiadu, po którym odczuwało się bóle brzucha, a czasem następowały wymioty i złośliwe biegunki...

Komanda pracy

Pierwszego dnia po świętach wielkanocnych Hauptkapo zwołał na podwórzu lagrowym zbiórke wszystkich więźniów z naszego transportu. W oddzielnej grupie musieli ustawić się mężczyźni, kobiety i osobno dzieci w wieku powyżej 12 lat, a na samym końcu dzieci najmłodsze. Do obowiązków głównego kapo należało organizowanie komand pracy oraz bieżące uzupełnienie ich składu w miejsce tych, których zabierała śmierć. Przydzielając więźniów do poszczególnych komand, porozumiewał się on przy tym z funkcjonariuszem SS, odpowiedzialnym w obozie za pracę więźniów.

Niektórych więźniów, przede wszystkim młodych i zdrowych, wywożono z lagru od razu do Niemiec na przymusowe roboty. Pozostali zdolni do pracy, zgrupowani w komandach, wyruszali codziennie pod nadzorem uzbrojonych wachmanów za bramę lagru i kierowani byli do prac fizycznych u Niemców w okolicznych majątkach ziemskich oraz fabrykach. Stanowili dla okupanta tanią siłę roboczą, przy czym należności za wykonywaną przez więźniów pracę inkasowało SS (czy gestapo).

Komanda wyruszała do pracy wcześniej rano i wieczorem wracała do lagru na noc. Więźniowie pracowali do 14 godzin dziennie. Do miejsc pracy dowożono im w wojskowych kuchniach połowych jeden tylko posiłek – małokaloryczny obiad z kuchni lagrowej. Śniadania i kolacje spożywali w lagrze. Od wycieńczenia, głodu i do tego jeszcze kopania oraz bicia w czasie pracy i po pracy, ludzie ledwo powłóczyli nogami. Co rano resztkami sił podnosili ze słomianego barłogu wychudzone ciała, stawiali w szeregi „swoich” komand i szli – pod karabinem – do pracy ulicami miasta smutną defiladą, dźwigając na pochylonych barkach swój więźniarski los.

Mamusię przydzielono najpierw do komanda, które pracowało w dużym ogrodnictwie przy ulicy Grudziądzkiej, a po dwóch tygodniach w innym już komandzie chodziła sprzątać niemieckie koszary wojskowe przy ówczesnie zwanej Zeppelinstrasse.

Leszek miał już dwanaście lat i ze swymi rówieśnikami został wcielony do dziecięcego komanda, które – jak inne komanda wyprowadzał do pracy uzbrojony wachman. Zatrudniała ich firma Klechowitz nad Wisłą, oddalona około 4 kilometry od lagru. Drogę tę komando dziecięce przemierzało rano i wieczorem pieszo, niezależnie od pogody, a więc w deszcz, ziąb, upał czy słońce. Dzieci pracowały ciężko przez dziesięć i więcej godzin dziennie, obciążając ze skórki (kory) kije o grubości do 4 centymetrów. Każdy pojedynczy kij trzeba było wkładać w specjalne kleszcze i mocno ciągnąć rękami, póki w uścisku żelaza nie pękła na nim skórka. Potem należało tę skórkę obłupać, wilgotne kije wiązać w snopki po 60 sztuk i ustawiać w sterty, żeby wyschły. Była to istna mordęga. W znoju ponad dziecięce siły dokuczały jeszcze obrzęki palców i krwiaki. Ręce przy tym grabiały z zimna, a głód skręcał wnętrzności...

Los pozostałych dzieci był nie mniej uciążliwy, zwłaszcza gdy uwzględni się proporcję ich wieku. Pracować musieli wszyscy, tyle tylko że dzieciom w grupie najmłodszych przydzielano pracę na terenie samego obozu. W tej grupie znajdowałem się także ja (miałem wówczas lat 9) oraz dwaj starsi moi bracia: 10-letni Janusz i 11-letni Bogdan. Codziennie rano stawaliśmy do apelu, dzielono nas na mniejsze podgrupy, z których każda otrzymywała co innego do roboty. Jedni musieli zbierać słomki, śmieci i większe kamyczki na placu apelowym i spacerowym. Zadaniem innych była pomoc przy sprzątanii i myciu umywalni i ubikacji, przebieranie ziemniaków dobrych od gnijących, posługiwanie przy kuchni obozowej, pomaganie przy karmieniu i oprzecie królików i świń, które w lagrze esesmani hodowali dla siebie; inni wreszcie zamiatali podwórze i ulice przyległe do lagru. Do tej ostatniej pracy stawaliśmy najchętniej, żeby choć na chwilę wydostać się za bramę lagrową i popatrzeć na ludzi swobodnie spacerujących ze swoimi dziećmi ulicami miasta. Zazdrościliśmy im i dzieciom biegającym na wolności. Wachman pilnujący nas odwracał się niekiedy, odchodził trochę na stronę i wówczas przechodzący ulicą ludzie rzucali nam świeże bułki. Chowaliśmy je pośpiesznie w kieszenie bądź za koszulę i w obozie obdzielaliśmy najmłodszych po kawaleczku. Raj w buzi mieliśmy choć przez chwilę...

Selekcje i próby zniemczenia

Wśród uwięzionych w Szmalcówce wielu było takich, co niemieckich ekspertów do spraw rasowych nie widzieli na oczy. Nas jednak selekcja rasowa nie ominęła. Musieliśmy stanąć przed komisją, w której składzie był zapewne także ekspert z Łodzi. Poddani zostaliśmy wstępnemu badaniu, polegającemu głównie na „ogłędzinach”, na „próbie” rozmowy w języku niemieckim oraz „wrażeniu”, jakie z badania odniósł ekspert – pod kątem „przydatności dla rasy germańskiej”. Okazało się, że „wrażenie” swoje ekspert określił jako pozytywne i w związku z tym zakwalifikowano nas do dalszych badań. Wkrótce potem wysłano nas – pod eskortą żandarma – do Kwidzyna (wówczas: Marienwerder), przed komisję „ściśłego wyboru”. Tam przedłożono mamusi do podpisu – także w naszym, jej dzieci, imieniu – formularz wniosku o wpis na niemiecką listę narodową i jednocześnie zapro-

ponowano zmianę naszego nazwiska Klimek na Klein... Mamusia wzięła podane jej do ręki pióro, przez chwilę wzrok swój skupiła na nas i – spokojnie odłożyła pióro na formularzu wniosku.

– Nein – rzekła po niemiecku. – Nie... Nie chcę i nigdy nie zmienię nazwiska. Jest to nazwisko mojego męża, ojca moich dzieci, którego wy, Niemcy, zabraliście nam i nie wiadomo, co się z nim stało... Przez moment zapanowała wśród członków komisji konsternacja. Takiego obrotu sprawy oni się nie spodziewali. Pierwszy poderwał się z krzesła przewodniczący komisji, który energicznym ruchem ręki wskazał nam drzwi i wrzasnął:

– Raus! Precz!... Verfluchte Pole!...

Stojącemu za nami wachmanowi z Torunia rozkazał:

– Sofort Zurück!... Z powrotem do lagru!...

I wachman odwiózł nas z powrotem do Szmalcówki.

Ludzie tracą zmysły

W lagrze, jak na scenie dramatycznego teatru – z tą różnicą, że tu naprawdę – działy się rzeczy smutne, niesamowite, tragiczne. Często przerastały one najśmielszą nawet wyobraźnię dziecka o świecie, a siła ich doznań była tak głęboka, że w świadomości dziecięcej pozostały na zawsze niezatarte wrażenia.

Którejś nocy zbudził nas przeraźliwy krzyk. Na naszym piętrze rozlegało się głośnie chlapanie. Ktoś mieszał rękoma w kiblu i piał przy tym, naśladując koguta:

– Kukuryku!... Kukuryku!...

Podnieśliśmy głowy z posłania. Widok był niesamowity. Starszy mężczyzna w krótkiej koszuli pochylał się nad kibelem i wydawał na wpół dzikie okrzyki. Nieczystościami z kibla bluzgał obrzydliwie naokoło... Stracił zmysły.

Po chwili inny mężczyzna zaszedł go od tyłu. Zaczęła się szarpanina z obłąkanym. Wtedy doszli inni mężczyźni, otarli chorego z brudu i związanego powlekli na legowisko. Ten nieszczęśliwy człowiek był jeszcze długo i przeraźliwie, póki nie zasnął ze zmęczenia.

Rano sądziliśmy, że był to może tylko koszmarny sen. Ale to nie był sen. Widzieliśmy jeszcze, jak tego chorego człowieka sprowadzono schodami z naszego piętra ze związanymi w tył rękami. Prowadzony szarpał się, a gdy próbował krzyżeć, zamykano mu usta. Esesman rozkazał zamknąć go natychmiast do bunkra, obok trupiarni. Skomlał tam potem z godziny na godzinę coraz ciszej, póki nie wyzionął ducha...

Przed oczyma ciągle mam inny jeszcze obraz człowieczego dramatu – kobietę, która po utracie w lagrze swoich najbliższych, sama utraciła rozum. Wybiegała ona przed blok i ręką unosiła w górę strzępy podartej sukni. Raz śmiech histeryczny wykrzywił jej twarz, to znów pochmurniało oblicze melancholią. Obłąkana mamrotała pod nosem niezrozumiałe słowa, a chwilami skakała przed siebie na jednej, to znów na drugiej nodze, jak beztrósko bawiące się dziecko...

Skoro tylko esesmani dostrzegli jej obłąkanie, zabrali natychmiast chorą z podwórza. I ona trafiła do karceru i w ciemnościach bunkra zgasło jej życie... Tak hitlerowcy likwidowali bezlitośnie w lagrze wszystkich, u których stwierdzono objawy choroby psychicznej.

To, co widziały oczy moje i słyszały uszy moje – po latach (w 1960 roku) utrwaliłem w wierszu pt. „Nie zapomnę”:

Nie zapomnę tych okropności
 długich jak noce chwil
 nie zapomnę wojny
 drutów kolczastych z prądem
 żywych za drutami kości
 szkieletów obłąkanych
 w lęku i rozpaczach
 to byli Ludzie
 patrzyłem na nich z przerażeniem
 bo oczy mieli nienormalne
 i skakali na podwórzu jak głupie
 esesmani
 co na czapkach mieli główki trupie
 stawiali ich pod murem
 do lochu wrzucali
 i się śmiali
 wciąż przybywali nowi
 a tamtych coraz mniej
 dzieckiem byłem wtedy

i takich jak ja
z komanda dziecięcego
było tam wielu
ale bardzo smutnych
bo nie mogli się bawić
nie rozumiejąc – dlaczego
dziś
w żyłach płynie jeszcze krew obozowa
na dnie serca boli
czasem boli ogromnie
i choćbym chciał zapomnieć
tych długich jak noce chwil
drutów kolczastych
i obłąkanych ludzi
nie zapomnę
nigdy nie zapomnę

Kary i zbrodnie

To, co działo się w lagrze, działo się poza prawem. A jeśli przyjąć, że jednak jakieś prawo tu obowiązywało – to było to prawo, jakiego nie zna żaden ucywilizowany kodeks świata.

Więźniami byli ludzie niewinni, nie skazani wyrokami sądu. Względem uwięzionych niemowląt i dzieci, w ogóle trudno mówić o skazaniu, a jednak wszyscy byliśmy uwięzieni. Wystarczał sam fakt bycia Polakiem.

Uwięziono nas w obozie, gdzie stosowano kary nie na przestępców i zbrodniarzy. Tu porządek rzeczy był odwrócony. Tu kary wymierzali nie sędziowie, lecz przestępcy i zbrodniarze, mający na sumieniu wiele zamordowanych ofiar. Karano za byle co, z byle powodu, najczęściej bez powodu i w różnorodny sposób. Czasem wystarczyła ku temu oprawcom choćby chęć „rozweselenia się” czy „przygnębienie” z powodu jakiegoś niepowodzenia.

Kiedyś na przykład rozeszła się wieść o niepowodzeniu niemieckiej floty na morskich szlakach komunikacyjnych Atlantyku. Podobno straty dotkliwe zadali tam Niemcom Anglicy. To niepowodzenie Niemców odczuliśmy wszyscy w obozie. Kiedy wieczorem, jak zawsze, korzystaliśmy ze świeżego powietrza przechadzając się przy blokach, wówczas to – prawie pół godziny wcześniej przed normalnym czasem wieczornego zamykania bloków – na podwórzu lagrowym zapanował tumult i okropny wrzask. Właśnie z budynku administracyjnego wybiegli z kijami od bilarda rozwścieczeni esesmani i bili nieludzko tych, co znajdowali się na podwórzu. Uciekający przed bolesnymi razami ludzie stłoczyli się przy wejściach do bloków. Nas, dzieci, mamusia w tym prawie czasie zaczęła myć przy korytach obozowej „łaźni-pralni”. Przerażeni tym, co zaczęło się dziać na placu, biegiem wpadliśmy pomiędzy starszych, tłoczących się u wejścia do naszego bloku. Po drodze, biegnąc przez plac, pogubiliśmy buty i w tłoku deptano nam po bosych nogach tak, że aż wyliśmy z bólu... Nas kije esesmańskie nie dosięgały, ale spośród osób dorosłych niejeden ociekał krwią od zadanej jemu twardej kijem rany na głowie. Jeszcze gorzej potraktowano tego wieczoru chorych zakaźnie, których bloki usytuowane były za pralnią. Na „teren zakaźny” esesmani bali się wejść (jak diabeł do święconej wody!), więc cegłami i dachówkami (ze stert ułożonych przy magazynach) rzucali ponad ogrodzeniem w grupy więźniów zakaźnie chorych i wybuchali szyderczym śmiechem, gdy cegła lub dachówka trafiła kogoś z więźniów tak, że z jękiem padał na ziemię...

Częstym sposobem znęcania się nad więźniami było „ćwiczenie z czapką” zwłaszcza w czasie, gdy powracających do obozu w komandach pracy stawiano na baczność przed obliczem groźnego esesmana Dohberta. On to szczególnie upodobał sobie patrzeć na zadreżanych z jego rozkazu. Zawsze wieczorem, wycieńczeni ciężką pracą i głodem więźniowie komand roboczych musieli zatrzymywać się na placu przed budynkiem SS do raportu i przy tym równo zdjąć czapki. W razie, gdy nie wyszło to równo, wówczas zaczynało się uciążliwe i długotrwałe „ćwiczenie z czapką” pod esesmańskie rozkazy – Auf! Ab!... Auf!... Ab! – Nałożyć czapkę! Zdjąć czapkę... Nałożyć!... Zdjąć!...

Wszyscy, jak jeden, równo musieli nakładać i zdejmować nakrycia głów. Kto uczynił nierówno z innymi, temu wachman kazał wystąpić z szeregu, a esesman kopał go i bił... Jeśli takich „niezdyscyplinowanych” było więcej, to „za karę” całe komando musiało stać na dworze do późnego zmierzchu – na baczność.

Jedną z okrutniejszych kar było stawianie więźniów na kilka godzin, czasem na cały dzień, przy murze budynku warsztatowego. „Kara” polegała na tym, że więźniowie zwrócenii twarzą do muru musieli stać nieporuszenie z rękami podniesionymi w górę, albo w pozycji przykucniętej... Za ich plecami chodził tam i z powrotem wachman. Jeśli, który zachwiał się lub obniżył ręce, tego wachman bił kolbą

karabinu, a niekiedy chwycił z tyłu za kołnierz i uderzał jego głową o mur albo tarł twarzą o mur... Gdy pobity i ociekający krwią więzień nie miał już sił, by dalej stać pod murem, wówczas wachman wtrącał go do ciemnego karceru. Tam więzień otrzymywał tylko raz dziennie kawałek suchego chleba i kubek wody. Kara w bunkrze trwała dobę, dwie, czasem jeszcze dłużej i niejednokrotnie wyciągano stamtąd już tylko ludzkie zwłoki...

Bunkier karny był niewielki i zupełnie pozbawiony dostępu światła. Jednorazowo pomieścić mógł kilkanaście osób, a niekiedy zamykano w nim na noc dużo więcej. Ludzie wtedy dusili się tam i konali, w żywym grobie...

Czasami na dworze słychać było dochodzące od strony bunkra przeraźliwe odgłosy rżężeń i jęków uwięzionych w ciemnościach i rozpacz. Tak przez wiele w ciągu roku dni dopełniały się zbrodnie, na których widok z lękiem rozwierały się nasze dziecięce źrenice... Wcześniej poznawaliśmy koszmara ludzkiego świata i tragizm tego, co człowiek, uznający sam siebie za „nadczołowieka” (hitlerowski Ubermensch), zdolny był uczynić drugiemu człowiekowi...

Któregoś dnia doświadczyliśmy pewnej – dla wszystkich polskich dzieci – przestrogi, płynącej ze smutnego końca niewinnej zabawy dziecięcej z piłką. Otóż w czasie sprzątania ulicy przylegającej do lagru, zauważyliśmy tam dwóch chłopców bawiących się piłką. W pewnym momencie jeden z nich (Polak) kopnął piłkę tak, że wylądowała gdzieś daleko i trudno było ją odszukać. Pozbawiony piłki ten drugi chłopiec, który okazał się być synem esesmana z naszego lagru, rozbeczał się i pobiegł do swego ojca ze skargą na polskiego kolegę. Z rozkazu esesmana wachmani ustalili wkrótce adres rodziny polskiego chłopca i sprowadzili jego ojca przed oblicze esesmana. Następnie na oczach nas, dzieci, w jednym z magazynów lagrowych – przy otwartej bramie magazynowej – rozebrano tego człowieka do koszuli i bezlitośnie skatowano kijami od bilardu... Okrwawionego i ślaniającego się na nogach Polaka wachmani wypchnęli z lagru na ulicę, a esesman „na pożegnanie” przykazał jemu, że jeśli jeszcze raz jego syn odważy się przeszkadzać w zabawie niemieckiemu dziecku, to zginie on i jego syn...

Wstrząśnięci sceną bicia i widokiem „ukaranego” zaczynaliśmy głębiej pojmować swój los oraz to, że nawet po tamtej stronie lagrowej bramy bawić się beztrudno mogły tylko dzieci niemieckie.

Nas pozbawiono uśmiechu dzieciństwa i możliwości beztrudnych zabaw dziecięcych wbrew powszechnemu prawu, jakie z natury rzeczy przysługuje – czy przysługiwać powinno – wszystkim dzieciom świata.

W obawie przed szpitalem

W czasie jednego z porannych obchodów towarzysząca sanitariuszowi lagrowemu pielęgniarka dostzegła, że Bogdan ma opuchniętą szyję, a twarz zarumienioną od gorączki. Powiedziała:

– Zabierzemy cię, chłopcze, do szpitala.

Bogdan wyrwał się jej z rąk i zaczął uciekać. Bał się szpitala. Ludzie straszili, że wielu tam umiera. Ucieczka jednak nie pomogła. Pielęgniarka dogoniła go i siłą zaprowadziła do wózka, którym z innymi chorymi odwieziony został na Goethestrasse do szpitala lagrowego.

Mamusia kilkakrotnie prosiła doktora Dembskiego, znajomego lekarza w szpitalu, ażeby zaopiekował się Bogdanem i jak najrychlej wypisał go z listy chorych. Po kilku dniach, gdy tylko stan zdrowia Bogdana uległ poprawie, lekarz pozwolił mu opuścić szpital i wrócić do lagru.

Leczony na oddziale dziecięcym Bogdan był świadkiem smutnego losu małego chłopczyka, wycieńczonego chorobą i głodem tak, że przez skórę bardzo odznaczały się kości. Chłopiec gorączkował i pragnął picia. Przez ledwie rozchylone usta wołał do pielęgniarki:

– Siostró, pitku... pitku kawy...

Ale pielęgniarka przeszła obok, jakby go nie słyszała.

– Niech Bozia mnie zabierze – prosiło dziecko jeszcze wieczorem.

– Chcę do mamy...

Zasnął potem i więcej już się nie obudził. Miał może cztery lata. Rano, skulony w śmierci, drobny, prawie goły szkielet dziecięcy wyniesiono do trupiarni...

Po Bogdanie zachorowaliśmy kolejno wszyscy na świnkę. Mamusia, przed wyjściem do pracy i zawsze wieczorem, opiekowała się nami bardzo troskliwie, byle tylko nie zabrano nas do szpitala. Co rano okrywała pierzynami, ścieląc – na wyznaczonym nam kawałku betonowej podłogi – pościel w taki sposób, jakby nikogo pod pościelą nie było. Z boków mieliśmy uchylone ledwie widoczne szparki tylko do oddychania. W kryjówkach tych powracaliśmy do zdrowia, ale kosztowało nas to straszne męki. Jeść się chciało, pić także, wszy gryzły, a – w czasie całego porannego obchodu sanitariusza z pielęgniarką – nie wolno nam było ani trochę się poruszyć. Jakoś przetrzymaliśmy te udręki i w końcu byliśmy zadowoleni, że zarówno sanitariusz jak i pielęgniarka (podczas swoich codziennych obchodów) nas nie wykryli i nie zabrali do szpitala.

Tak jedno zło w postaci choroby mieliśmy za sobą, nigdy jednak nie było wiadomo, co przyniosą kolejne dni i noce. Każda choroba była tu zwłaszcza dla nas, dzieci, dużym niebezpieczeństwem, głównie z powodu braku lekarstw.

Jeszcze wiosną 1942 roku Szmalcówkę odwiedził nauczyciel z naszej wioski rodzinnej – Pływaczewa, Adolf Merzinger. Przywiózł nam paczkę od siebie i naszej cioci (siostry mamusi, która na początku wojny była jego gospodynią). Ale esesmani nie chcieli wpuścić go na teren lagru. On jednak prosił ich tak długo, aż zgodzili się, by wszedł do biura lagrowego i przekazał dla nas chleb i trochę jabłek. Chleb to był specjalny, celowo z mocno spieczoną skórą, niemalże na węgiel. Języki mieliśmy czarne i w zębach jazgotało, gdy zjadaliśmy potem każdą okruszynę tej spalenizny. Stanowiła ona dla nas cenny lek przeciwko krwawej bieguncie, bardzo złośliwej i częstej w lagrze chorobie dziecięcej. Zwęglony chleb nie bardzo smakował i krzywił nam usta, ale dla przetrwania – i to, co niesmaczne, musiało być dobre...

Merzinger, ten obcy człowiek, był nam w niedoli życzliwszy, niż niejedni z naszych krewnych, mieszkający na wolności, nawet niezbyt daleko od lagru. Byli wśród nich bogaci, nie znający w tym czasie głodu, a jednak nie wyciągnęli ku nam ręki choćby z kawałkiem chleba, jak to uczynił – z narażeniem siebie na przykrości – obcy nam człowiek...

Dopiero w nieszczęściu doświadcza się prawdziwego sensu jednej z bajek napisanej przez naszego wieszca narodowego, Adama Mickiewicza, pod tytułem „Przyjaciele”. Bajka ta zaczyna się strofą:

„Nie masz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie.

Ostatni znam jej przykład w oszmiańskim powiecie.

Tam żył Mieszek, kum Leszka, i kum Mieszka Leszek” ...

Na końcu, jako morał, poeta przytacza *przysłowie niedźwiedzie*:

„Prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie” ...

Komendantowi serce mięknie

Mijały dni i noce. Zwykło się mówić, że przyzwyczajenie staje się jakby dragą naturą człowieka. Być może. Jednak do rzeczywistości lagrowej trudno było się przyzwyczaić. Trzeba było uczyć się znosić to piekło na ziemi, uczyć się przetrwania z nadzieją, a nawet wbrew nadziei. Bywało, że najdrobniejsze nieraz zdarzenie miało tragiczne w skutkach następstwa. Czasem zarazek tyfusu oznaczał kres wszystkiego. Toteż, stawiając czoła przeciwnościom losu, ludzie musieli być nieustannie czujni i silni wolą przetrwania. Konieczny był pozytywny stan ducha, wszak nawet w obliczu śmierci, niekiedy odrobina szczęścia, szczęśliwy zbieg okoliczności lub czyjś zbawienny wpływ – przynosiły ocalenie.

Mieliśmy i my trochę szczęścia w nieszczęściu. Od pewnego czasu lager-komendant, SS-Obersturmführer Willi Ehler, ilekroć wychodził przed budynek SS i obserwował plac lagrowy, dłużej jakby z wyrazem podziwu zatrzymywał swój wzrok na nas. Bo też trochę wyróżnialiśmy się w obozie nie tylko tym, że było nas sześcioro rodzeństwa, takich urodzonych prawie rok po roku, w tym – aż pięciu chłopaków, ale dzięki troskliwości mamusi – byliśmy nawet tu w lagrze czysto i ładnie ubrani. Zawsze w niedzielę ubierała nas wszystkich sześcioro w jednakowe ubranka (które mieliśmy jeszcze z domu). Wtedy właśnie była niedziela. Mieliśmy na sobie niebieskie wełniane garniturki z czerwoną obwódka i z białą w marynarkach wstawką z przodu (w kształcie jakby szerokiego krawata), a Rita miała podobną sukienkę. Korzystając z wolnego, niedzielnego czasu i możliwości wypoczynku, trochę hasaliśmy na placu, trochę spacerowaliśmy tam i z powrotem, również w pobliżu budynku administracyjnego, w którego drzwiach od kilku minut stał lager-komendant. Czuliśmy, że przez jakiś czas prawie nie spuszcza z nas wzroku. Wtedy pojawił się w pobliżu hauptkapo. Lager-komendant skinieniem ręki przywołał go do siebie. Rozmawiali najwidoczniej o nas, bo po chwili Hauptkapo podszedł do nas i zapytał:

– Gdzie jest wasza matka?

– W bloku – odpowiedział najstarszy z nas, Leszek, a my wszyscy patrzyliśmy bojaźliwie raz w stronę lager-komendanta, to znów na siebie ze strachem i niepewnością, o co komendantowi chodzi? Komendant tymczasem jakby z lekka się uśmiechał do nas, a hauptkapo już w otwartych wrotach bloku wołał:

– Jest tam pani Klimek? Proszę do mnie!...

Mamusia zbiegła z piętra bloku.

– Co się stało? – zapytała z lękiem. – Czy dzieciom... – Nie dokończyła, bo kapo zaraz wyjaśnił:

– Komendant lagru panią wzywa – i wskazał ręką. – Czeka tam...

Pobiegliśmy niemal razem do mamusi. Dostrzegła w naszych oczach zakłopotanie.

– Nie bójcie się. Jeszcze nic złego się nie stało – uspokajała, głaszcząc nam głowy. – Poczekajcie tu chwilę. Zaraz wrócę.

Sama trwożnie zbliżyła się do komendanta.

– Rozumiesz po niemiecku? – zapytał.

– Rozumiem – przytaknęła z niepokojem w głosie. Czuliśmy, że krew w żyłach mocniej jej tętni...

– To dobrze. To bardzo dobrze – Komendant uśmiechnął się i przez to stał się w jej oczach jakby mniej groźny. Wskazując w naszą stronę, zapytał:

– Tych sześcioro, to twoje dzieci?

– Tak – odrzekła. – to są moje dzieci.

– Pięć chłopaków. Ho, ho!... – pokiwał głową i patrzył przez chwilę na nas stojących niedaleko w małej grupce, to znów na naszą mamusię.

– Gdybyście byli rodziną niemiecką, to byłaby chluba dla naszego narodu... Pięć chłopaków! Ho, ho!... – i chwilę trwał w niemyim zachwycie. Dobrze, dobrze... – Napreżył się i odwracając się przodem ku wejściu do budynku, z gestem zaproszenia powiedział do naszej mamusi:

– Proszę do mojego biura... Muszę z tobą porozmawiać...

Mamusia uczyniła ruch ręki oznaczający, byśmy zczekali na placu i weszła za komendantem do jego biura. Tam, lagerfuhrerowi, musiała najpierw opowiedzieć trochę o sobie, o naszej rodzinie, o tym, dlaczego została z dziećmi uwięziona w lagrze itd. Tłumacz był zbędny. Cała jej rozmowa, (którą zrelacjonowała mi w 1973 roku, kiedy rak toczył już jej organizm), odbyła się z legerfuhrerem – w cztery oczy. Kiedy wspomniała mu o próbach pozyskania nas dla niemieckości, jakby zrozumiał, kogo ma przed sobą.

– A więc to ty jesteś ta, co w Kwidzynie odrzuciła wniosek... – powiedział dosyć ostro, jednak bez złości. – Teraz już wiem o tobie więcej. Ale, do diabła, nie rozumiem, dlaczego nie skorzystałaś z szansy dla siebie i dla dzieci?...

– Nie mogłam, bo nie wiem, co ci z Selbstschutzu i SS zrobili z moim mężem, ojcem sześciorga dzieci?...

– Z okoliczności jego aresztowania, o jakich mówiłaś, i nieudzieleniu tobie o nim żadnych informacji można... – nagle zamilkł. Nie dokończył zdania. Jakby znieruchomiał.

Mamusię przeraziło to, czego nie dopowiedział. Trwożnie przerwała jego milczenie.

– Herr Lagerfuhrer, czy może pan coś wie o losie mojego męża? Proszę, niech mi pan powie.

– Nie, nie – odpowiedział szybko. – Nie wiem... Zostawmy to. Teraz dla ciebie powinien być ważniejszy los twoich dzieci.

Zmieniając temat rozmowy, jakby z lekka uśmiechnął się.

– Pięć synów!... Nie do wiary... Powiedz, jak ty to zrobiłaś, że urodziłaś pięciu synów? – zażartował, stwarzając nastrój ulgi. I dalej ciągnął – Ja, niestety, nie mam powodu do takiej dumy. Mam tylko trzy córki... Trzy „niewypały”... – roześmiał się tak jakoś minorowo. Potem zapytał:

– Umiesz dobrze gotować?

– Tak – odrzekła. – Oczywiście umiem dobrze gotować. Przez dwa lata uczyłam się gotowania w pensjonacie prowadzonym przez siostry zakonne, a egzamin praktyczny zdałam przed kuchmistrem w majątku ziemskim w miejscowości Turzno koło Torunia. Moi rodzice, także właściciele majątku ziemskiego, dbali, ażeby każda ich córka miała w tym względzie odpowiednie przygotowanie.

– To bardzo dobrze! – powiedział z wyraźnym zadowoleniem. – W takim więc razie od jutra zmieniam ci pracę. Codziennie o godzinie czwartej rano przychodzić będziesz tu, do tego budynku, i poprowadzisz kuchnię dla funkcjonariuszy SS i SD, także dla tych z obsługi szpitala. Będiesz odpowiedzialna za przygotowanie i podanie do stołu trzech posiłków dziennie dla 64 osób. Do pomocy otrzymasz jedną dziewczynę. Dasz radę?

– Uczynię wszystko, co w mojej mocy – odrzekła.

– Tak myślę – kontynuował dalej. – Myślę, że nie zawiodę się na tobie. Dotąd jedzenie przyrządzała nam Niemka. Taka stara uprzykrzona wiedźma (dosłownie). Poruszała się jak żółw i ciągle mamrotała pod nosem... Zwolniłem ją. Ty zajmiesz jej miejsce. A wiesz, dlaczego?... – I nie czekając, co odpowie, sam wyjaśnił: – ponieważ umiesz po niemiecku, masz sześcioro dzieci, w tym pięciu dorodnych synów... I powiem ci jeszcze coś. Otóż co wieczór po pracy pozwałam tobie zabierać z kuchni SS we wiaderku resztki ze stołu tego, co będzie zostawało po naszych posiłkach. Zawsze coś tam z obiadu i kilka kromek chleba ze śniadania i kolacji pozostaje. Od jutra możesz tym dokarmiać swoje dzieci...

Promienie szczęścia zaśniły w oczach naszej mamusi. Już chciała dziękować, ale komendant mówił jeszcze dalej:

– Rozkażę wachmanom pełniącym służbę wartowniczą przy wejściu do tego budynku, ażeby ciebie nigdy wieczorem nie zatrzymywali do kontroli, gdy po pracy będziesz wracała do bloku na noc.

– Dziękuję, Herr Lagerfuhrer! – skinęła głową w jego stronę. – Dziękuję bardzo, także w imieniu moich dzieci!

– No dobrze – powiedział z zadowoleniem. – Właśnie to, co dla ciebie czynię, to czynię i dla twoich dzieci. A teraz idź już do nich i pamiętaj, od jutra codziennie tu (dłonią stuknęła o biurko) w kuchni rano o czwartej!

Kiedy już wychodziła, jakby echem brzmiały w jej uszach słowa: „... to czynię dla twoich dzieci...”. I pomyślała, że jednak Bóg nie opuścił jej zupełnie w nieszczęściu. A ten esesman, tu w lagrze „pan życia i śmierci uwięzionych”, też chyba u Boga zyska łaskę, jeśli wierzyć słowom ewangelii wypowiedzianym przez Chrystusa: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, mnie uczyniliście...”.

Tak rozmyślając, wyszła szybko z budynku SS, podbiegła ku nam i oznajmiła radośnie:

– Uratuję was... Uratuję...

W ten zupełnie niespodziewany sposób poprawił się w lagrze nasz i – jak się potem okazało – nie tylko nasz los. Mamusia wynosiła wszak z kuchni SS nie tylko zbierane ze stołu resztki jedzenia, ale pod tymi „resztkami” także zupę (zakrywając ją w dolnej części wiadra talerzem) i nad zupą – dania obiadowe z mięsem i chleb, dużo chleba... Wachmani, zgodnie z rozkazem komendanta, przepuszczali ją bez słowa nawet, kiedy oprócz pełnego wiadra wynosiła także w drugiej ręce niemalą torbę z jedzeniem. Dzięki temu mogła nie tylko nas lepiej odżywiać, ale obdzielała tą – w warunkach lagrowych jakby manną z nieba – także wielu innych współwięźniów, zwłaszcza chorych i słabych, przywracając im siły do pracy i może nawet ratując niejednemu życie.

Sama pracowała bardzo ciężko, przez szesnaście, a czasem więcej godzin na dobę. We dwie, z przydzieloną jej do pomocy dziewczyną imieniem Truda (pochodzącą z Kaszub), miały pełne ręce roboty. Wysilek jednak się opłacał. A przy tym nawet esesmani i wachmani, wstając od stołu, nie skąpili pochwał za smacznie przyrządzane im jedzenie.

Przydziały żywności do esesmańskiej kuchni mamusia pobierała codziennie z magazynu usytuowanego w piwnicy tego samego budynku, w którym była kuchnia i biura zarządu lagru. Magazynierem był także Polak, pochodzący z Golubia-Dobrzynia. Przy wydawaniu przydziałów, upewniwszy się, że w pobliżu nie ma wachmana, kroił on wędlinę i inne co smaczniejsze wiktuały i dawał mamusi z zachętą:

– Bierz i jedz do syta! Nie żałuj sobie... Z kuchni też kradnij, ile tylko możesz... Niech ubywa z tego, co szwabskie, żeby ich jak najprędzej diabli wzięli!... Dlatego słuchaj mnie, kobieto. Jedz i wynoś dzieciom, ile tylko zdołasz...

Tak to jeden drugiego w lagrze wspomagał, czym mógł. A wszystko było czynione w taki sposób, żeby nic nie podpadło wachmanom, ani innym esesmanom. I oni rzeczywiście nawet nie domyślali się zaistnienia ubytków w żywności. Mamusia umiała wzbudzić ich zaufanie. Bywało, że niektórzy z nich przychodzili o różnych porach dnia wprost do kuchni i sami, niemal spod ręki mamusi, podbierali smaczne kaski. Przy tym niejednen zwierzał się ze swoich kłopotów i rozterek, nad podziw odważnie. Na przykład – pewien wartownik nazwiskiem Strehlau, skarżył się (dręczony może wyrzutami sumienia, a może celowo dla „wybadania” mamusi), że z niechęcią nosi mundur SS i nieraz, z rozkazu swoich przełożonych musi strzelać do więźnia, próbującego ucieczki z lagru... Mamusia nasza wołała milczeć przy takich zwierzeniach. Wtedy dodawał:

– Ty mnie na pewno nie wydasz. Masz dosyć swojego nieszczęścia.

– Nie wydam – odrzekła, patrząc odważnie jemu w oczy. Nie wydam, bo nic nie słyszałam.

– Żebyś jednak wiedziała – ciągnął dalej – że nie jestem złym człowiekiem, to powiedz twojemu synowi, temu, co czyści buty oberscharffuhrerowi Winkowi, niech jutro pokręci się trochę przy wieży wartowniczej. Rzucę jemu z wieży swoje drugie śniadanie...

SS-oberscharffuhrer Franz Wink był zastępcą lagerfuhera Ehlerta i jemu to każdego dnia Bogdan czyścił wysokie do kolan buty. Nieraz mamusia go w tym wyręczała, ale Bogdan obowiązkowo przychodził co rano do biura SS i tam w korytarzu, wymachiwał szczotką nad butami Winka zwłaszcza, gdy korytarzem przechodził jakiś wartownik.

Strehlau dotrzymał słowa. Zapowiedzianego dnia Bogdan udał się w pobliże wieży wartowniczej i zachowywał tam pozory bawiącego się chłopca. Zdjął czapkę i udawał, jakby czegoś szukał. W pewnym momencie coś spadło z góry. Rzut z wieży wartowniczej był celny, prosto do czapki... Bogdan w mgnieniu oka chwycił czapkę, przycisnął mocno do piersi i powrócił biegiem na plac obozowy. Obstąpiliśmy go wraz z kilkorgiem innych dzieci.

– Zwędziłem, ukradłem nieuważnemu wachmanowi – powiedział Bogdan z miną bohatera i po małym kęsku prawdziwego chleba z kielbasą podzielił się z głodnymi.

Tylko my znaleźmy tajemnicę, jakim naprawdę sposobem Bogdan zdobył chleb z masłem i kielbasą, ale tego nie wolno było nikomu zdradzić.

Dwie Żydówki

Biuro ewidencji lagrowej w budynku administracyjnym prowadziły dwie Żydówki. Podobnie, jak mamusia z Trudą w kuchni, tak one radziły sobie świetnie z pracą biurową. Starsza, lat około 60, posiadała uniwersyteckie wykształcenie i była kierowniczką biura. Młodsza, imieniem Ruth, miała nie więcej jak 20 lat i prowadziła (pod kontrolą SS) obozowe księgi ewidencyjne. Dbała też o porządek w biurze.

Pracowały uczciwie i obie cieszyły się uznaniem nawet ze strony esesmanów. Dobrze traktował je między innymi zastępca komendanta lagru, wspomniany już wyżej – Wink. One nie musiały chodzić na noc, jak wszyscy inni więźniowie, do bloków lagrowych. Miały dla siebie odrębne pomieszczenie noclegowe na strychu budynku administracyjnego. One też, doceniając zapewnione im znośniejsze od innych warunki życia w obozie, uważały bardzo, ażeby nie narazić się Niemcom. Ale oczy ich często wyrażały smutek, jakby wyczuwały czajenie się blisko po kątach zła.

Do lagru docierały złe wieści o przygotowaniach czynionych przez hitlerowców do „ostatecznego rozwiązania problemu żydowskiego” na wszystkich terenach wcielonych do Rzeszy. Mówiło się coraz głośniej o specjalnych obozach, gettach dla Żydów, o samochodach trujących zamykanych w nich ludzi spaliniami z silnika, doprowadzanymi do wnętrza nadwozia..., o deportacjach do miejsc – bez powrotu...

Nie wystarczały umieszczane w urzędach, restauracjach, kawiarniach, tramwajach, napisy: Fur Hunde, Juden und Polen eintritt verboten!... (dla psów, Żydów i Polaków wstęp wzbroniony). Dyskryminacja nabierała ostrzejszych wymiarów. Odgórne rozkazy z Berlina brzmiały: „Żydów likwidować”!...

W istniejącej sytuacji tragicznego losu nie uniknęły wówczas również obie Żydówki z biura toruńskiej Szmalcówki. Pewnego dnia – tak jak stały, nawet bez ręcznego bagażu, wywieziono je pod eskortą uzbrojonych wachmanów w nam niewiadomym kierunku... Młodsza, Ruth, zdążyła jeszcze pożegnać się z naszą mamusią w kuchni SS. Zdjęła z nóg ostatnie buty i dała mamusi. Głosem nabrzmiałym smutkiem powiedziała – Są jeszcze dobre. Proszę je przyjąć ode mnie, za dobre serce oraz żywność, jaką ukradkiem przynosiła nam pani. Tam, gdzie nas powiozą, buty nie będą już potrzebne... – W mocnym uścisku pożegnała się z naszą mamusią, której niemy płacz utrudnił wypowiedzenie jakiegokolwiek słowa.

Skazani i uratowani od śmierci

Nadchodziło lato 1942 roku. Mijało dopiero kilka tygodni pracy naszej mamusi w kuchni SS.

Pewnego wieczoru lagerführer Ehlert wezwał mamusię do swego biura. Ogarnął ją niepokój, wszak nigdy nie było wiadomo, co złego wydarzyć się mogło lub może. Ehlert – jak już wspomniałem – był w lagrze „panem życia i śmierci” uwięzionych. Mówiono też, że pełni esesmański nadzór nad tak zwanymi fortami w Toruniu. Z trwogą opowiadano, że w fortach VII i VIII często nocą rozstrzeliwani są Polacy...

Niespokojne myśli biegały mamusi po głowie, gdy weszła do pokoju biurowego komendanta i stanęła przed jego obliczem. Miał wyraźnie złą minę. Nawet nie kazał jej usiąść. Pobladła, kiedy odezwał się groźnie:

– Wściekły jestem i zły na ciebie razem z twoimi dziećmi i sam na siebie! Przyjąłem cię do naszej kuchni i pozwoliłem zabierać resztki jedzenia z naszego stołu dla twoich dzieci, ale popełniłem wielki błąd... – Mówił wolno i gniewnie. – Powiniennem pozwolić wam umrzeć, kolejno wszystkim!...

– Herr Lagerführer, co się stało? Co złego stało się tak nagle? – pozwoliła sobie zapytać w zakłopotaniu.

– Co się stało, pytasz. Otóż stało się coś niedobrego. Kłamałaś, udając przede mną porządnego człowieka. Otrzymałem informację, że jesteście rodziną groźnych polskich bandytów, zaciekłymi wrogami Niemiec!...

– Panie komendancie – próbowała zaprzeczyć od razu, ale jeszcze nie pozwolił jej na wyjaśnienia.

– W waszym domu – kontynuował – ukrywaliście Polaków, którzy przed wojną mordowali Niemców. Twój mąż był też jednym z tych bandytów. Ale jego SS dostało w swoje ręce, a innym ty ułatwiłaś ucieczkę. Karmiłaś w swoim domu polskich bandytów. Z twoją pomocą uszli przed karą. Na razie. Za to teraz ciebie spotka kara najsurowsza!...

– To nieprawda! – krzyknęła przerażona tym, co mówił. – Proszę, panie komendancie, proszę pozwolić... proszę dać mi możliwość wyjaśnienia.

– No to mów, co masz na swoją obronę – pozwolił jej mówić.

– Panie komendancie, to wszystko nieprawda! To jakieś straszne nieporozumienie. Ktoś fałszywie na mnie i na mojego męża doniósł. Mój mąż nigdy nie był wrogiem Niemców ani nie znał takich wrogów wśród Polaków. Przed wojną był sołtysiem, potem wójtem i posłem. Niemcom zamieszkałym w naszych stronach pomagał. Pomagał każdemu, kto potrzebował jego pomocy, bez względu na to, czy był Polakiem czy Niemcem... Na początku pierwszej wojny światowej powołany był do niemieckiego wojska... Walczył na froncie zachodnim... Zaklinam się na głowy moich dzieci – mój mąż nie był mordercą. W naszym domu nie ukrywali się bandyci. To podle kłamstwo!... Nagle zaświtała jej trafna myśl: – Panie komendancie, ja w głębi duszy mojej domyślałam się, kto mógł mnie i mojego męża tak oczernić...

Ehlert słuchał z uwagą, co mówiła i nagle, przy ostatnich jej słowach, poruszył się nerwowo w swoim fotelu.

– Co ty mówisz?... Skąd możesz wiedzieć kto?... Akta są tajne.

– Ja tylko domyślałam się – powtórzyła, ale zaraz dodała: – Ja jestem pewna, że te denuncjacje mógł złożyć nie kto inny, jak pan Karl Struwe z Pływaczewa.

– Nieprawdopodobne! – wykrzyknął Ehlert. – Nieprawdopodobne! Skąd ty to wiesz?

Nie odpowiedziała wprost na jego pytanie, ale wykorzystała moment, że mogła mówić dalej, szybko więc wyjaśniała dalej:

– Ten Struwe z Pływaczewa jest złym człowiekiem. On działa podstępnie tylko dla własnych korzyści, dla wzbogacenia się i dlatego nas chce zniszczyć, ażeby na zawsze zawłaszczyć sobie zabrane nam gospodarstwo. W tym celu był on inspiratorem tego, że aresztowano mojego męża i dotąd nie wiem nic o jego losie... To nie kto inny, jak Struwe, starał się potem usilnie, ażeby mnie z dziećmi usunięto z gospodarstwa na zawsze. Podejmował różne w tym kierunku działania, próbując wysiedlić nas najpierw do Kielc w Generalnej Guberni, potem do Rzeszy na roboty, aż w końcu udało mu się doprowadzić do uwięzienia nas tu w lagrze. On chce mieć nasze gospodarstwo dla swojego syna, gdy powróci z wojny. On chce nas wszystkich zniszczyć tak, żeby nie było po nas śladu. Zmyśla więc kłamliwe przeciwko nam zarzuty i prześladuje na bezlitośnie od 1939 roku... – Mówiła tak żarliwie i z takim przekonaniem, że lagerfuhrer jakby z wolna nabierał przeświadczenia o jej niewinności.

– Słuchaj, Wanda – odezwał się łagodnie. – Gotów jestem uwierzyć w to, co powiedziałaś. Nawet przyznam, że w myślach od początku podejrzewałem tego Struwe o jakiś ukryty w jego działaniu interes... – Po chwili namysłu dodał: – Sam nie wiem dlaczego dyskutuję z tobą o tym wszystkim. Gdyby ktoś z gestapo wiedział o mojej z tobą rozmowie, nie tylko twój ale i mój los byłby pożałowania godny.

– Ode mnie nikt się niczego nie dowie, niech mi pan wierzy – spieszenie starała się go uspokoić.

– Chyba wierzę. Dlatego powiem ci jeszcze i to, że sprawa twoja była rozpatrywana wczoraj na posiedzeniu specjalnej komisji. Twoją lagerkartę oznaczono krzyżykiem, a to tyle samo, co wyrok śmierci. Najbliższym transportem masz być z dziećmi przewieziona do Stutthofu na stracenie.

– Boże! – zawołała przeraźliwie i szloch wstrząsnął jej piersią.

– Moje dzieci! Panie komendancie, ja nie pozwolę, żeby je zamordowano. Mnie możecie zabić, ale dzieciom darujcie życie! Dzieci na śmierć, za co?!... One przecież niczemu niewinne...

Ehlert wstał zza biurka i dopiero teraz przesunął w jej stronę krzesło i wskazał ruchem ręki, żeby usiadła.

– Nie płacz! – rozkazał. – Płacz tu nic nie pomoże. Ani tobie, ani twoim synom. Trzeba ze spokojem zastanowić się, czy możliwe dla was jest jeszcze jakieś wyjście z tej opresji... Trzeba rozważyć, czy i jak mogłabyś wybronić się przed Stutthofem...

– Niech pan nas ratuje, niech się pan ulituje nad moimi sierotami – prosiła, ocierając łzy. – Moje dzieci, ja chyba zwariuję... – lamentowała.

– Uspokój się, kobieto! – prawie krzyknął, przybierając prężną postawę. – Trzeba w spokoju zastanowić się – powtórzył – co robić dalej, a nie lamentować.

– A co ja mogę uczynić, panie komendancie? – zapytała spokojnie.

Wrócił na swój fotel.

– Sama nic nie zdasz... Nawet, gdyby komisja chciała wysłuchać ciebie, to i tak wiarę dadzą Niemcowi. A Struwe jest Niemcem.

Przetarł prawą dłońią czoło, jakby w głowie szukał jakiegoś pomysłu.

– Słuchaj, Wanda – odezwał się po chwili. – Wanda... W waszej historii była taka Wanda, co podobno nie chciała Niemca... Ale ją zostawmy. Ty pomyśl teraz, czy znasz może jakiego Niemca, który byłby gotów zaprzeczyć temu, co napisał przeciwko tobie i twojej rodzinie Struwe?

– Znam – odrzekła. – Znam nawet kilku.

– Co to za jedni?

– Adolf Merzinger, kierownik szkoły w Pływaczewie, Petersen, właściciel majątku we Wrocławkach, Wunsch, zarządca gospodarstwa mojej siostry w Ostrowie...

– Wystarczy. Trzech przeciwko jednemu to wystarczająco dużo, żeby komisja zmieniła decyzję.

Wstał z fotela chyba zadowolony.

– Musisz zaraz do nich napisać. Niech wstawią się za tobą i poinformują nas o wszystkim, co może przemawiać na twoją korzyść. Wyjaśnienia niech kierują do kierownictwa lagru, do mnie... Ja, na ile to będzie możliwe, postaram się odwlec wykonanie decyzji komisji, póki nie nadejdą listy od tamtych Niemców. Napisz do nich, niech udzielą wyjaśnień niezwłocznie, bo to naprawdę sprawa życia albo śmierci...

Mamusia podniosła się z krzesła.

– Herr Lagerfuhrer. Wprost nie wiem, jak mam panu dziękować.

– Nie dziękuj. Jeszcze nie teraz. Na razie to tylko nadzieja, że nie wszystko dla was stracone. Nie traćmy tej nadziei.

Zbliżył się do mamusi i dłońią lekko uściśnął jej ramię.

– Widzisz, Wanda, my Niemcy mamy też ludzkie uczucia. Szkoda tylko, że ja nie mam tylu synów, co ty... Dopiero miałbym powód do dumy. Ale niewykluczone, że jeszcze doczekam się syna... No a teraz już idź. Nie wyobrażam sobie, kto inny by nam tak smacznie gotował, gdyby ciebie zabrakło. Bądź więc dobrej myśli i zrób, jak ci kazałem. Tylko pamiętaj, nikomu ani słowa o naszej rozmowie. W ogóle tej rozmowy nie było, rozumiesz!?

– Rozumiem.

– W takim razie wracaj do kuchni i pracuj, jakby się nic szczególnego nie wydarzyło. Listy napisz wieczorem.

Odprowadził ją do drzwi. Wysłała wzruszona do głębi świadomością tego, że tak realnie zawisła nad nami śmierć... W sercu pocieszała się jednak, że ratunek nadejdzie w porę. W myślach nie mogła jednak pojąć, że sam lagerfuhrer powiedział jej o tym i sam wskazał drogę ratunku... On, który mógł wyrokować o śmierci innych – on zdecydował się ustrzec nas od takiego wyroku...

Do bloku wróciła, jak zawsze, bardzo późnym wieczorem. Mrok tego wieczoru rozjaśniała pełnia księżyca. Nie dała poznać po sobie, że płakała i nawet słowem nie wspomniała o wyroku, jaki wydany już został na i tak bardzo kruche nasze życie. Dokarmiła nas tym, co udało jej się zabrać z esesmańskiej kuchni i z czułością ułożyła wszystkich do snu.

– Śpijcie, moje skarby – szeptała. – Śpijcie. Dopóki mogę czuwać nad wami, nic złego wam nie grozi.

– A mamusia nie kładzie się spać? – zapytała Rita.

– Położę się za chwilę, córeczko – odrzekła. – Muszę jeszcze napisać listy do naszych znajomych...

Z biura przyniosła w kieszeni ołówek, papier listowy i trzy koperty.

– Kiedy dorośnięcie i uda nam się szczęśliwie wyjść z tego piekła, przypomnę wam dzień dzisiejszy i tę noc, która może okazać się błogosławiona. Nawet księżyc świeci dziś wyjątkowo jasno, jakby wiedział, że muszę – przy jego świetle – napisać te listy...

Posiedziała chwilę przy nas, a kiedy już sen zmorzył nam powieki, podeszła bliżej okna i przy blasku dobrotliwego księżyca lży serdeczne przyoblekała w słowa. Wołaniem jakby tonącej w odmętach kłamliwego oskarżenia wzywała Niemców przeciwko Niemcowi na swój i nas, dzieci, ratunek. Oni trzej – Merzinger z Pływaczewa, Petersen z Wrocławek i Wunsch z Ostrowa, byli teraz nadzieją naszego ocalenia.

Tej nocy prawie nie zmrużyła oka. Świt zastał ją przy adresowaniu i zaklejaniu kopert. Rankiem błogosławiła księżyc za światło, które jej dał. Zaklejone koperty wręczyła znajomej, wychodzącej w komandzie pracy za bramę lagrową, by w mieście wrzuciła je do skrzynki pocztowej. Należało teraz uzbroić się w cierpliwość i ufnie oczekiwać odpowiedzi.

Dni oczekiwania wydawały się nieskończenie długie... W głowie mamusi kłębiły się różne myśli, niczym czarne i białe chmury, które wiatr gonił po niebie. Przy niepewnej pogodzie nie było też wiadomo, czy wiatr przyniesie burzę czy zdola rozpedzić groźne chmury i niebo się wypogodzi...

Po tygodniu lagerfuhrer Ehlert wezwał mamusię znów do siebie. Miał trochę jakby uśmiechniętą minę i od razu wskazał mamusi krzesło, by usiadła.

– Coś ty narobiła, Wanda? – próbował ją jeszcze przestraszyć.

– Czy jakieś nowe nieszczęście? – spytała niepewnie.

– Nie, nie nowe. A tamto chyba przestaje już tobie zagrażać. Jeśli o mnie chodzi, dla mnie jesteś już zrehabilitowana – powiedział z wyraźną satysfakcją.

Jak krople najczystszej rosy lży szczęścia spływały jej po policzkach.

– To lży radości, panie komendancie... Jak ja i moje dzieci odwzajemnimy się panu?...

– Nie mów o wdzięczności, bo powinienem cię jeszcze skarcić.

Spojrzała mu w oczy z niepokojem.

– Tak, tak, Wanda, – pokiwał głową. Postawiłaś wszystkich nas, jak to się mówi na nogi. Nie tylko listy nadeszły już w twojej sprawie, ale ja wprost nie mogę wyjść z biura. Ten Wunsch z Ostrowa dzwoni niemal bez przerwy. Ciągłe coś mu się przypomina i telefonuje do mnie po kilka razy dziennie... W Ostrowie mieszka w jego sąsiedztwie brat Struwego. Wunsch powiada, że to taki sam kłamca, jak ten z Pływaczewa. A o tobie to nakładł mnie do uszu tyle słów pochwalnych, że właściwie należałoby przedstawić cię do odznaczenia... Wanda, czy ten Wunsch czasem nie kocha się w tobie? – zażartował...

– Nie, panie komendancie, – zaprzeczyła. – Ledwie go znam, ale od siostry mojej wiem, że to dobry człowiek. On przyjął w zarząd majątek ziemski mojej siostry i jej męża, przy czym nie pozwolił ani jej, ani męża, ani ich dzieci wywieźć do lagru. Mieszkają tam do dziś i pracują.

– Wiedziałaś, komu zaufać.

– Zaufałam dobrem Niemcom – wyjaśniła. – Nauczyciel z Pływaczewa był tu nawet odwiedzić nas w lagrze. Przywiózł dzieciom chleba i jabłek. To człowiek samotny i bardzo uczciwy. Moja druga siostra jest u niego gospodynią. Gdy wywożono nas do lagru, on chciał moją małą córeczkę, Ritę, zatrzymać u siebie, ale Struwe nie pozwolił. Natomiast Petersen, to człowiek znany naszej rodzinie jeszcze sprzed wojny. Szanowany i szanujący innych. Takim właśnie Niemcom zaufałam i – jak widać – nie zawiodłam się.

Ehlert pokiwał głową i po chwili powiedział:

– Teraz czeka cię jeszcze przesłuchanie przed komisją, która wydała na ciebie wyrok. Bądź dalej dzielna. Po wszystkich odłożymy całą tę sprawę ad acta i zapomnimy o niej.

Ostatnie słowa dodały jej otuchy tak, że kiedy wróciła do kuchni, z radością nuciła różne melodyjki. W lagrowym nieszczęściu mogła mówić o szczęściu...

Po kilku dniach przyszedł do kuchni po mamusię wachman.

– Ubierz płaszcz i chodź ze mną – rozkazał. – Mam zaprowadzić ciebie na komisję.

Wyszli na ulicę. Wachman ruchem ręki wskazał jej, by szła jezdnią, tuż przy krawężniku, a sam kroczył obok chodnikiem, stukając miarowo o betonowe płytki chodnikowe ciężkimi, wojskowymi butami. Miał przewieszony na ramieniu karabin z najeżonym przy lufie bagnetem. Mamusia czuła na sobie wzrok przechodniów. Niektórzy nawet przystawali, oglądając się to na nią, to na wachmana. Ona sama miała świadomość, że przytłaczają pohańbienie, jakby skazańca, ale mimo trzymała się prosto i szła z podniesioną głową. Tylko w sercu było jej smutno, a droga wydawała się być bez końca.

Komisja urzędowała przy ul. Grudziądzkiej w lokalu po dawnej piekarni. Nasza mamusia stanęła twarzą w twarz przed tymi, co już wcześniej na nią i na nas, jej dzieci, wydali wyrok śmierci. Było ich ośmiu, w tym pięciu w esesmańskich mundurach.

– Powiedz, coś ty za jedna? – zapytał pierwszy z brzegu.

– „Legerinsassin” Wanda Klimek – odpowiedziała.

– Czy wiesz dlaczego zostałam tu wezwana?

– Domyślam się, że ktoś mnie oskarżył – rzekła stanowczo. Domyślasz się, mówisz – skonstatował siedzący w środku i zaraz dodał – a może wiesz, kto i co ci zarzuca?

– Nikt inny to być nie może, jak tylko Struwe z Pływaczewa – powiedziała bez lęku i dalej opowiedziała słowo w słowo wszystko, o czym przedtem mówiła komendantowi lagru.

Nie trzymali jej długo. Wysłuchali dosyć cierpliwie. Chwilami jeden do drugiego coś szepnęli. W końcu ten siedzący pośrodku zapytał:

– Zanim tu przyszałaś, czy wiedziałaś, że miałaś być przewieziona stąd z dziećmi do innego obozu?

– Słyszę dopiero teraz – musiała skłamać.

– A jak to się stało, że wstawili się za tobą Niemcy z twoich stron rodzinnych?

– ...(?) – wzruszyła tylko ramionami.

– W takim razie wiedz – poinformował na koniec starszy stopniem esesman – że Niemcom zawdzięczasz to, że pozostaniesz w tutejszym lagrze.

Czekała na te zbawienne słowa. Prawie nie dosłyszała już tego, co jeszcze mówili. Dopiero wachman wyrwał ją z oszołomienia, kiedy szarpnął za rękaw i rozkazał:

– Wracamy!

Wracała do lagru, do nas, jej dzieci, jak niesiona na skrzydłach. Nie zwracała wcale uwagi już na tych, co przyglądali się jej po drodze. Wracała tak szybko, że ledwie wachman za nią nadążał. Półszepem powtarzała przez łzy szczęścia pełne zbawiennej treści słowa: – Ocaleni!... Dzieci moje kochane! Jesteśmy ocaleni, a byliśmy już skazani na śmierć...

Matce – chwała

W lagrze dzieci starsze troskliwie opiekowały się młodszymi, zastępując w tym często rodziców, których jedne dzieci już straciły, a inne nie widziały od rana do wieczora. Wielu – jak my – było półsierotami. W ciągu dnia zdani byliśmy tylko na siebie. Sami więc sobie praliśmy bieliznę, naprawialiśmy odzież i z utęsknieniem czekaliśmy zmierzchu wieczornego, kiedy to do lagru powracały komanda pracy. Radością dla nas były choć wieczory spędzone z matką i pewność spokojnego przespania nocy u jej boku.

Fatum życia obozowego polegało z reguły na tym, że gdy jedno nieszczęście miało, ciągle inne czało się po kątach. W takiej sytuacji – póki mamusia była przy nas, byliśmy spokojni o swój los. Ona była nam wszystkim i każdy jej dotyk, każde słowo rozjaśniało smutek, osuszało łzy, przynosiło ulgę w cierpieniu. W istocie była Ona nam najprawdziwszym darem ŻYCIA, utrzymywanym w nas dzięki Jej MIŁOŚCI, dawanej także w kromce powszedniego CHLEBA...

MATKA – ze wszystkich na świecie istot najlepsza. Pod czarnymi chmurami naszej lagrowej rzeczywistości – nasza OSTOJA! Na zawsze w pamięci potomnych niech pozostanie to, co już po wojnie, wspominając czas niewoli, napisałem o Niej (w 1947 roku) w wierszu pod tytułem „Matka”:

W obozie za drutami
w nieludzkiej poniewierce
największym naszym skarbem
było matczyne SERCE
Straciliśmy niemało
ojca nas wróg pozbawił
lecz los był dla nas łaskaw
bo Matkę nam zostawił.
Ilekróć „MAMO CHLEBA”
wołamy głodne dziatki
od ust ostatnią kromkę

oddały dłonie Matki.
 Gdy dziecię z zimna lkało
 tuliła je do piersi
 gdy nas na śmierć skazano
 zbawiła nas od śmierci!
 Jak anioł stróż czuwała
 często do późnej nocy
 czy czasem ktoś z sześciorga
 nie wzywa Jej pomocy.
 I choć łzy z przemęczenia
 w jej oczach się jawiły
 nigdy się nie skarżyła że
 dźwiga krzyż na siły. Za
 ŻYCIE i za MIŁOŚĆ
 powszedni CHLEB, co dała
 niech naszej Drogiej MATCE
 na wieki będzie chwała!

Nowe transporty i ośmiu ze Stutthofu

W lagrze ciągle coś się działo. Często zmieniały się twarze tu więzionych. Jednych zbierała śmierć, innych wywożono gdzie indziej (także w głąb Niemiec), a ich miejsca zajmowali wciąż nowi.

Ludzie z każdego nowego transportu przyjmowani byli na placu, podobnie jak nas przyjmowano. Niekiedy nawet bardziej brutalnie, w zależności od tego, jaki w danym dniu „nastrój” mieli oprawcy. Bywało, że „na powitanie” nowych więźniów esesmani „zabawiali się” w sposób, jaki poniżał ludzką godność i budził przerażenie. Tak było, kiedy po obrabowaniu nowo przybyłych ze wszystkiego co mieli przy sobie i ze sobą, zapędzano ich do pomieszczenia tuż przy budynku administracyjnym. Tam esesmani rozkazali wszystkim rozebrać się do koszuli. Następnie otworzyli wrota na oścież i prawie nagich ludzi przepędzali tam i z powrotem – w rytm komendy:

– Raus, Rein!... RausL. Rein!... wyjść... wejść...

Kiedy ludzie wybiegali na podwórze i musieli znów wbiegać do pomieszczenia, stojący po obu stronach wrót esesmani bili ich dotkliwie kijami od bilardu... Inni esesmani, stojący w tym czasie na placu, przyglądali się dręczonym i upadającym w biegu i szyderczo zaśmiewali się z ich nagości...

Po kilkunastu minutach takiej tragifarsy ludzie musieli ubrać się w pośpiechu, zabrać z placu resztki swoich rzeczy i wejść do bloku, gdzie – jak kiedyś nam – odmierzono im na betonowej podłodze „kwatery”. Zrozpaczeni, z lękiem pytali:

– Czy tu zawsze tak biją i poniżają?...

– Nie lękajcie się – pocieszali inni, dłużej tu więzieni. – Esesmani tylko czasem tak szaleją...

Więźniowie z nowych transportów, co najmniej przez kilka pierwszych tygodni, czasami miesięcy, odróżniali się od tych, którzy już dłuższy czas przebywali w lagrze. Ubiór nowo przybyłych nie miał jeszcze śladów zniszczeń, a dobry na ogół wygląd ich ciał zmieniał się na gorszy dopiero, gdy głód i choroby zaczęły dawać się im we znaki.

Inaczej wyglądali przywiezieni któregoś dnia do Szmalcówki więźniowie z obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Było ich ośmiu. Wyglądali, jak szkielety odziane w nędzne łachmany. Błazi, cherlawi, ślanieli się na wychudzonych nogach, niczym chwiejąca się trzcina na wietrze... Robili wrażenie ludzkich strzępów, wydobytych jakby z otchłani i przywróconych życiu.

Na „przywitaniu” w Szmalcówce esesmani rozkazali im stać przez kilka godzin twarzą do muru budynku warsztatowego, a na noc wtrącili do bunkra. Wszyscy jakoś przetrzymali tę noc. Rano otrzymali po kubku czarnej kawy pozwolono im wyjść na podwórze lagrowe. Od razu zaczęli rozglądać się za czymś do zjedzenia. Któryś z nich pobiegł w stronę ogrodzenia, gdzie spod drutów płotu wyrastały kępki trawy. Rwał jej zielone źdźbła z korzeniami, otrząsał z ziemi i jadł... Inni zatrzymali się przy kupie wyrzuconych z piwnicy przegniłych już ziemniaków, wybierali z nich kawałki jeszcze nie zgniłe i zjadali na surowo...

Patrzyliśmy na nich litościwie z uczuciem przykrej niemocy dania im w tym momencie choćby kawałka chleba, ale nie mieliśmy go w zapasie. Oblicze tego świata, w jakim przyszło nam przeżywać lata naszego dzieciństwa, rysowało się przed nami w coraz czarniejszych kolorach.

Więźniowie ze Stutthofu opowiadali, że tam skąd przybyli, zwłok pomordowanych nie chowa się do grobów, lecz pali..., że po dzieciach pozostają tylko sterty małych bucików...

Wśród przybyłych ze Stutthofu był więzień nazwiskiem Stencel, który pochodził z naszych rodzinnych stron. Mamusia poznała też pewnego właściciela dużego (około tysięcmorgowego) majątku z okolicy Gdańska.

Już po kilkunastu dniach wszystkich ośmiu wywieziono dalej – do Potulic. Tam musieli budować drewniane baraki nowego obozu dla Polaków. Okazało się potem, że ten nowy obóz w Potulicach był budowany także dla nas... Obecnie – o miejscu dawnej Szmalcówki w Toruniu i o tych, co w lagrze ponieśli śmierć, przypomina tablica pamiątkowa z napisem: „TU ZGINEŁO ZA SPRAWĘ NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI W LATACH 1939-1943 Z RĄK HITLEROWSKICH SIEPACZY 39 DZIECI, 802 KOBIET I MEŻCZYŹN. CZEŚĆ ICH PAMIĘCI”.

Część trzecia. Potulice – lager numer 2937

Ze Szmalcówki do Potulic

Naszym szczęściem w nieszczęściu było to, że uniknęliśmy skazania do Stutthofu. Nie uniknęliśmy jednak dalszego losu więzińskiego, wszak przekazani zostaliśmy z toruńskiej Szmalcówki do obozu w Potulicach.

Potulice – to niewielka wieś w województwie bydgoskim, odległa 9 kilometrów od Nakła nad Notecią.

Organizacja obozu w Potulicach

W październiku 1941 roku przystąpiono w Potulicach do budowy nowego obozu z baraków drewnianych usytuowanych na wytyczonym niedaleko pałacu terenie, ogrodzonym płotem z drutu kolczastego. Co kilkadziesiąt metrów ustawiono wieże wartownicze. Wprowadzony potem regulamin obozowy – w punkcie 13 – zabraniał więźniom dostępu do ogrodzenia na odległość dwóch metrów. W razie naruszenia tego przepisu każdy z uzbrojonych wartowników miał prawo użycia broni.

Jako siłę roboczą sprowadzono więźniów z obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Stamtąd też ściągnięto personel urzędniczy i nadzorczy. Bezlitośni funkcjonariusze SS dali się poznać więźniom potulickim od najgorszej strony, tworząc w nowym obozie warunki na wzór, jakie panowały w obozach koncentracyjnych.

Służbę wartowniczą pełniła początkowo policja ochronna. W trakcie rozbudowy obozu, do straży sprowadzono ze Stutthofu specjalną kompanię SS, SS-Totenkopfverbände. Następnie, we wrześniu 1942 roku, skierowano do tej służby 145-osobową kompanię, przeszkoloną jako młodą kadrę SS.

W każdym baraku nowego obozu urzędował więzień funkcyjny, zwany porządkowym (ordnungsführer). Na czele każdego komanda roboczego stał kapo, a rozdziałem pracy, w porozumieniu z wyznaczonym funkcjonariuszem SS, kierował kapo główny („Hauptkapo”). Na szczeblu wyższym, skład personelu zarządzającego i obozowej komendantury, stanowili wyżsi rangą funkcjonariusze SS.

Więźniami byli Polacy z całego Pomorza. Głównie ludność wiejska, wysiedlana z gospodarstw ziemi bydgoskiej, toruńskiej, gdańskiej... W dalszym okresie istnienia obozu – więźniami było coraz więcej polskich dzieci, a także dzieci z Białorusi, nazywanych przez hitlerowców „dziećmi band” („Bandenkinder”) z tego względu, iż ich rodzice byli partyzantami, walczącymi na tyłach wschodniego frontu wojennego.

Po przekroczeniu bramy obozowej

Pod nadzorem uzbrojonych wachmanów wprowadzono nas do pomieszczenia, w którym poddani zostaliśmy osobistej kontroli. Przy wysypywaniu przez wachmana zawartości z torebki naszej mamusi wypadł na podłogę pamiątkowy medalion z wizerunkiem Matki Boskiej w białej (z kości słoniowej) oprawie. Mamusia pochyliła się i podniosła go.

- Pokaż to! – rozkazał wachman. Przyjrzał się wizerunkowi na medalionie i zapytał: – Co to jest?
- Matka Boska, czarna Madonna z Częstochowy – odrzekła mamusia.

Wówczas wachman splunął ohydnie. Rzucił medalion pod nogi i zdeptał butem tak, że oprawka kosztna pękła.

- Teraz to sobie weź! – Powiedział wachman szydyczko.

Mamusia zebrała rozbite kawałki z podłogi i trzymając je w dłoni, mocno przycisnęła do piersi. Szeptem przy tym westchnęła: „Przepraszam, Matko Boża, za tego brutalą... Wierzę, że pomożesz nam przeżyć i to piekło...”

Wachman odwrócił się i w złości kopnął resztki naszych rzeczy, złożonych na podłodze.

W tym czasie inny funkcjonariusz znalazł w naszych rzeczach małą torebkę z cukierkami, które mamusia w sobie wiadomy sposób „zorganizowała” nam na drogę do nowego lagru. Funkcjonariusz ten przez chwilę popatrzył na nas i zbliżył się do 9-letniej Rity.

– No, mała, weź „bombom”... – powiedział, podając jej do ręki torebkę z cukierkami. – Weź dla siebie i braci...

Rita dygnęła chudą nóżką w podzięcie bez słowa.

– A teraz szybko! „Schnell! Schnell”. – zawołał esesman. – Zabierajcie swoje rzeczy...
Zaprowadzono nas do „biura meldunkowego”, gdzie spisano nasze dane personalne. Po chwili urzędnik tego biura powiedział:
– Będziecie teraz numerem 2937!... To lager numer całej waszej rodziny. Poszczególni członkowie rodziny zostają oznaczeni kolejnymi literami alfabetu... Zrozumiano!?
Mamusia przytaknęła głową.
– Pójdziecie teraz do łaźni – mówił dalej urzędnik. – Przez czas mycia się, rzeczy wasze zabiorą do pralni w celu odwszenia... Potem porządkowy zaprowadzi was do baraku nr 13 i wskaże wam pomieszczenie z pryzcami do spania. Tam – od teraz – będziecie mieszkać...
Tak zaczął się nam pierwszy dzień w potulickim obozie.

Opracownicy i ich ofiary

Warunki życia w obozie potulickim były wprost nieludzkie, a funkcjonariusze SS traktowali uwięzionych w sposób brutalny i poniżający. Więźniowie byli tu dla nich tylko numerami. Wprowadzili w obozie dyscyplinę karną, bili więźniów do nieprzytomności, nawet rozstrzelali przy rzekomych próbach ucieczki...

Więźniowie byli morzeni głodem. Dziennie więzień otrzymywał tylko 20 (czasem 25) dekagramów chleba, dwa lub trzy razy w tygodniu małą porcję margaryny albo łyżkę marmolady z buraków. Rano i wieczorem kubek kawy ze zboża lub żołądź, a na obiad zupę z brukwi, z przerośniętej sałaty, zmarzłej kapusty albo pokrzywy ugotowanej – jeśli z mięsem, to było to mięso od padniętej krowy, konia lub nawet psa... Takie wyżywienie nie miało więcej niż 800 kalorii, a więc miało niższą kaloryczność niż w innych obozach koncentracyjnych.

Więźniów zmuszano do niewolniczej, wielogodzinnej – niemal od świtu do zmierzchu – pracy. Musieli pracować przy robotach budowlanych i drogowych, w polu i w obozowych warsztatach. Na rzecz firmy Nordhav szyli mundury, a w firmie Schulz – kozuchy dla niemieckich żołnierzy. Wykonywali też w obozie części do samolotów dla firmy Hansawerk.

Był w Potulicach specjalny bunkier karny (karcer), do którego miały dostęp szczury... Była kompania karna (Strafkolone) złożona z więźniów, którzy musieli pracować najciężej i których traktowano najsurowiej. Nadzorcą karceru był esesman Johan Rach. On to często wymierzał więźniom karę chłosty bykowcem, kładąc przy tym więźnia na specjalnym koźle do bicia... Po takim biciu i jeszcze innych torturach wiele ofiar zmarło.

Wśród innych członków esesmańskiej załogi potulickiego obozu, co popełniali na więźniach okrutne morderstwa, należy wymienić choćby takich esesmanów, jak: – sanitariusz Haupt, który w grudniu 1941 roku, deptając nogami po piersiach i brzuchu chorego więźnia Adama Blicharza, spowodował w ten sposób jego śmierć... – esesman z Sonderreferatu Hans Vordran wiosną 1942 roku odebrał jednej matce z rąk niedorozwinięte (kalekie) jej dziecko i wrzucił do bunkra, gdzie zmarło z głodu... On także na terenie obozu zrywał więźniom czapki z głowy, rzucał je daleko i rozkazywał biec po nie. Wtedy strzelał do więźnia pod zarzutem próby ucieczki... – Pod podobnym nieprawdziwym zarzutem esesman Otto Rexin zastrzelił w 1943 roku w czasie pracy dwóch więźniów: Józefa Kubackiego i Tadeusza Siudę. – Inny esesman Hans Nelssen (Bauleistungsfuhrer) po pijanemu zastrzelił więźnia inżyniera architekta Józefa Scheibe...

Esesmani z Potulic odpowiedzialni są także: – za zamordowanie więźnia Fabiana Leśnikowskiego... – za polewanie zimną wodą więźniarki Piekarskiej, która potem zmarła... – za utopienie w dole kloaczonym bezimiennego więźnia... – za maltretowanie, bicie i mordowanie dzieci polskich, a od 1943 roku także dzieci białoruskich, odebranych ich rodzicom i uwięzionych w Potulicach... – za śmierć 5000 więźniów, w tym ponad 1200 dzieci, którzy nie doczekali wyzwolenia...

Gauleiter (szef administracyjny) na okręg Gdańsk – Prusy Zachodnie, Albert Forster, oskarżony po wojnie – przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Polsce – o hitlerowskie zbrodnie, na pytanie sędziego: jakie obozy znajdowały się na podległym jemu terenie? – odpowiedział: „wiadomo mi było o obozach koncentracyjnych w Stutthofie i Potulicach...”.

On wiedział najlepiej, co oznaczała nazwa obóz koncentracyjny i jakie w takich obozach dokonywały się zbrodnie z rąk hitlerowskich oprawców...

Smutny los dzieci

Jak w każdym hitlerowskim obozie, tak i w obozie potulickim najbardziej pożałowania godnym był los dzieci. Tylko nieliczne miały tu rodziców. Wiele – podobnie, jak my – było półsierotami, inni sierotami zupełnymi, którym rodziców zamordowano, albo – dziećmi samotnymi, których rodziców Niemcy wywieźli w inne strony do przymusowej pracy.

My mieliśmy tu wielu naszych znajomych jeszcze ze Szmalcówki. Dzięki pomocy pana Stencła mamusia otrzymała od razu pracę przy szpitalu obozowym. Nie musiała więc wychodzić w komandach pracy poza teren obozu, dzięki czemu była bliżej nas.

Przez okres czterech długich lat istnienia obozu w Potulicach było tam uwięzionych ogółem kilka tysięcy dzieci. Przywożono tu dzieci nie tylko z Pomorza, ale i z innych stron Polski, między innymi z obozów w Rybniku, Katowicach, Łodzi a nawet z Oświęcimia... W niektórych miesiącach dzieci stanowiły ponad 40 procent ogółu więźniów... Śmierć, jak już wyżej wspomniałem, poniosło ich ponad 1200...

Przede wszystkim krytyczny stan sanitarny w potulickim obozie, głodowe racje żywnościowe, prawie zupełnie brak lekarstw oraz bicie i znęcanie się nad więźniami, nie wyłączając najmłodszych, pociągały za sobą ogólne wycieńczenie organizmów, choroby i wysoką wśród dzieci śmiertelność. Wypadki śmiertelne były częstsze zwłaszcza w okresach epidemii takich chorób zakaźnych, jak odra i czerwonka (dezynteria).

Dzieci umierały jednak nie tylko wtedy, gdy w obozie panowały epidemie. Umierały, chorując na tyfus, gruźlicę, zapalenie płuc i krwawą biegunkę. Umierały najczęściej dzieci najmłodsze i urodzone w antysanitarnych warunkach obozowych niemowlęta, których matki nie miały pokarmu.

Choroby i śmierć – to jedna tylko strona smutnego losu obozowego. Tu pracować musiały także wszystkie dzieci powyżej 6 lat. Nam przypadła praca w różnych komandach, które grupowane były według wieku: od 6 do 12 lat, od 13 do 15 lat i od 16 do 18 lat. Dzieci i młodzież dwu starszych grup zatrudniano w warsztatach obozowych oraz poza obozem, między innymi przy pracach polowych, przy zbieraniu z pól kamieni, także przy struganiu witek itp. Grupę zaś najmłodszych wyprowadzano codziennie do okolicznych lasów, gdzie pod nadzorem wachmanów musieliśmy zbierać, zależnie od pory roku: runo leśne, grzyby, pokrzywy czy też leśne jagody, których jednak nie było wolno nam jeść. Po pracy przy zbiorze jagód kapo sprawdzał dzieciom języki i jeśli były choć trochę od jagód granatowe – wówczas dziecko było za karę bite bykowcem niejednokrotnie do krwi...

Najdrobniejsze nawet „przewinienie” czy niezdyscyplinowanie w grupie było od razu surowo karane, także uderzeniami kija z ręki esesmana. Bicie było bardzo dolegliwe, pozostawiało na ciele dziecka nie tylko siniaki, ale i krwawe rany.

Dzieci w Potulicach były karane i w taki sposób, że za rączki przybijano je do desek...

Szczególnie okrutnym był Kinderkapo Adalbert Jopek. Zasłynął niechlubnie z prześladowania dzieci w taki sposób, że zniemacka dopadał dziecko, chwycił za nogi i głowę w dół zanurzał w basenie z lodowatą wodą, czasem aż do utraty przytomności... Pozostawiając potem dziecko leżące na ziemi, odchodził z uśmiechem sadystycznego zadowolenia... Był on największym dla nas, potulickich dzieci, postrachem.

To było prawdziwe piekło na ziemi!...

Wyzwolenie z tego piekła przyszło 21 stycznia 1945 roku.

Zamiast epilogu

Po latach uwięzienia gdy nastał koniec złego wróciliśmy z niewoli do domu rodzinnego. Wróciła nasza Matka stamtąd gdzie los nas rzucił siostra i bracia także lecz Ojciec już nie wrócił... Zagroda ograbiona stodoła w zgłiszczach leży a w domu często chleba nie starcza do wieczery. Skąd zresztą czerpać mąkę gdy ziarna brak w zagrodzie trza było wpierw się zabrać do pracy, choć o głodzie. Z rodzeństwem starszym wtedy w wąbrzeskiej średniej szkole ucząc się, odczuliśmy młodzińskich lat niedolę. W południe po wykładach wracaliśmy do domu by choć przez kilka godzin w pracy na roli pomóc. Złe czasy bez dzieciństwa i chmurne dni młodości tkwią oprócz w mej pamięci w głębi osobowości...

Dziś skarżyć się nie pragnę
wrogowi źle nie życzę boleśnie
doświadczony
nie mogę jednak milczeć Do
wszystkich wołam ludzi ja,
byłe „dziecko wojny” nie chcę
słyszeć o wojnie wołam o czas
spokojny. W imię ludzkiej
godności pomni na nieszczęść
lata nie rozstrzygajmy wojną
konfliktów tego świata.
Podajemy sobie ręce ziemię
otoczony wokół w jedno
wzrośnie siła możliwa dać nam
pokój.

* * *

Wojna – to słowo straszne
największe zło na ziemi
Wojna – to żniwo śmierci
to rozpacz do potęgi
Wojna – to kres, zagłada
niewinnych i ich mienia
Wojna – to otchłań piekła
to łzy, ból i cierpienia
Wojna – to smutne dzieło
zniszczenia i przekleństwa
Wojna – to brak miłości
to hańba człowieczeństwa.

* * *

Pokój – to słowo piękne
największe dobro ziemi
Pokój – to słońce życia
to szczęście do potęgi
Pokój – to wielka szansa
rozwoju, wzrostu mienia
Pokój – to dzieciom radość
dorosłym – dar spełnienia
Pokój – to wzniosłe dzieło
symbol błogosławieństwa
Pokój – to znak miłości
to godność człowieczeństwa